Nr. 10. Lwów, dnia 1. Października 1891. Rok XIV.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs. 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

PAROSTKI KOZŁÓW.

Studyum przyrodniczo-łowieckie

skreślił
Władysław Spausta.

(Ciąg dalszy).

W naturze nie istnieje i chwila spoczynku; w obec pozornej stagnacyi, w ukryciu odbywa się ciągły ruch, ciągła przemiana.

Gdy parostki doszły szczytu swego wykształcenia, wszczyna się na nowo opisany już proces w kościach i guzach czołowych, powtarza się znowu infiltracya tych części, a przepełnione sokami tkanki tworzyć zaczynają widoczne zgrubienia, bezpośrednio pod różami parostków, niby miękki obręcz, który przybiera na rozmiarach z biegiem czasu, a równocześnie w miejscu tem okazuje się na guzach pierścieniaste zaklęśnięcie na obwodzie. Substancya parostka zaczyna się w miejscu tego zaklęśnięcia oddzielać od guzów czołowych, a w 18 lub 19 miesiącu, zwykle w listopadzie lub w grudniu, kozioł traci parostki. Odpadają one bądź same przez się, bądź zwierzę przyspiesza odpadanie tróceniem umyślnem lub przypadkowem.

Rzadko kiedy odpadają oba parostki razem, a zdarza się, iż kozioł, zrzuciwszy jeden parostek, jeszcze kilka tygodni chodzi z „tyką“, jak pozostały parostek zwie mowa nasza bogata. Po pozbyciu się owej tyki, zwie go terminologia małkusem, aż do czasu pojawienia się rogów mlecznych.

Zrzucanie parostków odbywa się przy pomocy t. z. „zgorzeliny“, z utworzeniem ściśle ograniczonej linii, a raczej płaszczyzny demarkacyjnej. Parostek, jako t. z. w patologii „sequester“, izoluje się od żyjącego organizmu.

Po zrzuceniu, przy którem najczęściej pojawia się nieco krwi z naczyń włoskowatych tworzywa na guzach, obrażonych podczas zrzucania — zwłaszcza jeżeli zwierzę powodowane niecierpliwością w sposób gwałtowny zrzucanie przyspieszyło — widać na szczycie guzów pod delikatną skórką zgalaretowacenia czerwono zabarwione, a powierzchnia z miseczkowato wklęsłej staje się coraz wypuklejszą.

Płaszczyzny guzów, na których tworzy się linia demarkacyjna, różnią się w swem położeniu, stósownie do wieku kozła, niemniej i kąt nachylenia całych guzów czołowych przedstawia się rozmaicie, stosownie do wieku zwierzęcia. I tak, górna płaszczyzna guzów jest u szpiczaka niemal poziomą, a guzy same pionowo osadzone; stąd parostki szpiczaka wyrastają pionowo, a końce często nawet ku środ-

kowi się zwracają. W późniejszych latach guzy pochylają się ku tyłowi, a płaszczyzna osady parostków coraz więcej na zewnątrz się pochyla, stąd normalnie rozwinięte parostki kozłów coraz bardziej końcami od siebie odstają, nachylając się zarazem ku tyłowi głowy. Cecha ta jest stałą i służyć może w warunkach normalnych jako ważny czynnik do oznaczenia w przybliżeniu wieku zwierzęcia.

Następny rozwój parostków, jako też dalsze, powtarzające się co roku, są zupełnie podobne do już opisanego powstawania parostków szpiczakowych, z tą tylko różnicą, iż mają tu miejsce zmiany w guzach, o których już wspomniałem. Guzy te z każdą epoką dalszą grubieją coraz więcej, tak, iż gdy szpiczak osadza parostki na guzach 0·75—1·5 cm. średnicy mających, dochodzi średnica guzów u kozłów starych do 2·4 cm.

Po raz drugi włożone parostki posiadają zwykle już jedną gałązkę, a od kształtu przypominającego widły, trafnie język myśliwski kozła w tej porze „widlakiem" nazywa. Nowa ta gałązka wyrasta z przedniej strony łodygi, pod ostrym kątem do góry, nigdy zaś na stronie tylnej łodygi. Pojawienie się w epoce tej gałązki na tylnej stronie łodygi, bez równoczesnego wystąpienia widełek od przodu, jest mi dotychczas zupełnie nieznane, nie uwzględniając nienormalnego stanu, jaki by tu mógł mieć miejsce, a któryby dał się z łatwością rozpoznać. Parostki w ten sposób ukształtowane, z drugiej epoki odrostowej, uważałbym za rzadkość największą.

W epoce tej, jakoteż w późniejszych, zrzucają kozły cokolwiek wcześniej swe parostki niż szpiczaki, tak, iż z końcem listopada wyjątkowo tylko ujrzeć można starsze kozły z parostkami.

W trzeciej epoce odrostowej osiągają zwykle parostki najwyższy szczyt rozwoju, co się tyczy ilości rozgałęzień. Na tylnej ścianie łodygi pojawia się gałązka ku tyłowi zwrócona, podczas gdy gałąź, tworząca koniec łodygi, ku przodowi nieco się nachyla, dając parostkom tej epoki obronną postać.

Na tem kończy się prawidłowy rozwój gałęzi, a tylko wyjątkowo liczba gałęzi powiększa się w późniejszych epokach. Dowodem, iż tylko dotąd sięga prawidłowy rozwój, jest objaw, iż powiększanie się ilości gałązek następuje w rozmaitych, zupełnie nieprzewidzianych miejscach, i do prawdziwych rzadkości należy.

Z oczyszczeniem i wykształceniem parostków tej epoki, kończy się zwykle i rozwój fizyczny ciała, osiąga ono największą wagę, a zwierzę, przeszedłszy stopnie koźlęcia, szpiczaka, widłaka, zowie się rogaczem, kozłem, sarniukiem, sarńcem lub capem *(Kapital-bock)*.

Nawet znakomici i powszechnie znani badacze tego przedmiotu twierdzą, iż normalny rozwój parostków nie kończy się na 6 gałęziach, lecz, że parostki w normalnym stanie rzeczy osiągają i 12 rozgałęzień. Twierdzenie to, pomimo źródła skąd pochodzi, odeprzeć muszę z całą stanowczością, jako niezgadzające się z naturą rzeczy; a powagą największą jest tu dla mnie własne doświadczenie. Podania te powstały bądź przez mylne wzięcie pereł nadzwyczaj wydłużonych za gałęzie, bądź podniesiono tu wyjątkowe i li tylko indywidualne zjawiska do wysokości prawidła.

Podania w czasopismach fachowych, zamiast wyjaśniać rzecz, jeszcze więcej czytelników bałamucą, bo donosząc gołosłownie o ubiciu w jakiejś okolicy kozła o 16, 18, ba nawet więcej gałęziach, poprzestają na tem, a doniesienia tego rodzaju pojawiają się bardzo często we wszystkich czasopismach łowieckich. Przykładowo naprowadzam tu niektóre. *Deutsche Jagd und Forstzeitung* VI. 44., donosi o ubiciu 16-gałęziowego kozła; Teodor Hartig w leksykonie swym str. 412 przyznaje się do posiadania 18-gałęziowych parostków, a Blasius (znany przyrodnik) podaje, iż w Kroacyi i w Hiszpanii kozły o 10 gałęziach nie należą do rzadkości, przyczem jednak czyni tę wiele znaczącą w tym wypadku uwagę, iż długie perły mogą być wzięte za gałęzie. Jestto w każdym razie dowolność, wcale nie licująca ze ścisłością badacza — identyfikowanie dwóch rzeczy podobnego kształtu, ale bardzo różniących się co do swej istoty.

W obec tej tak głośnej konkurencyi kozłów zagranicznych w produkcyi gałązek, muszę także coś donieść o naszym polskim, niezawsze sytym koziołku, który i pod tym względem nie pozostaje w tyle. Oto posiadam parostki, które przy bardzo drobnym kształcie, bo mierzą tylko 7·5 cm. długości, liczą 15 gałązek, i to gałązek wyraźnych, a nie pereł wydłużonych. Muszę jednak zarazem rozczarować szanownego czytelnika i powiedzieć mu, że ubiwszy kozła tego 22. lipca 1885 r., gdy parostki jeszcze były w scypule, przekonałem się, że fenomalne parostki te są wynikiem stanu chorobliwego. Kozioł był postrzelony z wiosną brokiem. Kilka ziarn śrótu wydobyłem ze skóry, kilka z róży parostkowej. Reszty parostków nie badałem w tym względzie, nie chcąc psuć pięknego okazu i mając dostateczny powód do wytłumaczenia sobie monstrualnej ilości gałązek.

Po tem, co powiedziałem, przychodzę śmiało do tej stanowczej konkluzyi: Prawidłowy rozwój parostków kończy się na 6 gałązkach. Wyjątkowe właściwości indywidualne jakoteż nazbyt korzystne wpływy siedliska i podniebia mogą wytworzyć silniejszy rozwój i hyproperdukcyą gałęzi, a cecha ta może się stać do pewnego stopnia dziedziczną. Przygodność miejsca jednak, gdzie gałązki te wyrastają i zupełna w tym względzie nieprawidłowość, wskazują aż nadto na ich charakter bądź indwidualny, bądź familijny, a nie na cechę stałą gatunku.

Wszelkie inne parostki, których rozwój nie wskazuje bynajmniej na wyjątkowe, nazbyt korzystne warunki, a posiadające więcej niż siedm gałęzi, są zjawiskiem chorobliwem, nie dającem się zawsze dokładnie zbadać i określić.

Czuły organizm kozła na wszystkie wpływy jest powodem, iż wielkość parostków w pewnym wieku nawet w przybliżeniu nie da się oznaczyć. Jest tu niemal tyle różnorodności, ile ich spotykamy w ukształtowaniu. Biorąc na uwagę tylko normalny rozwój, zebrałem niektóre daty rozmiarów długości parostków, pochodzących z rozmaitych miejscowości:

szpiczak	1) — 17	cm.	dług.
"	2) — 10	"	"
"	3) — 5	"	"
widlak	1) — 18	"	"
"	2) — 11	"	"
"	3) — 5	"	"
kozioł	1) — 26	"	"
"	2) — 18	"	"
"	3) — 15	"	"

Najdłuższe parostki jakie zdarzyło mi się widzieć, pochodziły ze starszego już kozła i mierzyły 35 cm.; słyszałem jednak o istnieniu parostków na 41 cm. długich, a mają się one znajdować u któregoś z Hartigów.

Niemniejsze różnice zachodzą w grubości parostków jednej i tej samej epoki. Zwykle w normalnym stanie rze-

czy parostek o tyle jest dłuższym, o ile średnica staje się mniejszą, tak, iż parostki jednoepokowe, a normalnie wykończone, przy bardzo różniących się długościach, bardzo mało różnią się co do wagi. Długość zatem zmienia się stosownie do warunków bytowych i indywidualnych właściwości, lecz ilość materyi rogowej pozostaje bardziej stałą.

W lasach naszych odróżniać się dają najwyraźniej owe dwa typy parostków, jeden smukły i wydłużony, drugi przysiadły, o znacznie grubszej średnicy. Nie jest to bynajmniej cecha odmian, lecz właściwość pewnych rodów, a nawet osobników, której przyczyna jest dotąd niezbadaną.

Zdawaćby się mogło, iż w lasach, w których sarn jest wiele, często spotkać można zrzucone parostki. Tak jednak nie jest, owszem, przydybanie parostków jest bardzo rzadkie i tylko przypadkowe. Parostki pojedyncze, znalezione na ziemi w lesie, doszły rąk moich od robotników zajętych przy kulturach, a leżały zawsze ukryte pod trawą albo zeschłym liściem. Czy kryje je tam sam ciężar, a wiatr temu pomaga, czy też je zwierzę zagartuje — rozstrzygnąć nie mogę, bo nie zdarzyło mi się kiedykolwiek być świadkiem takiego pogrzebu parostków. Od dozorców zwierzyńcowych, którym najłatwiej rzecz tę sprawdzić, otrzymywałem sprzeczne podania, a w dziełach przyrodniczych również nic stanowczego nie znalazłem.

Parostki posiadają pewien rodzaj właściwej sobie woni, nie wystarczającej wprawdzie dla naszego zmysłu powonienia, jednak dość silnej dla psów, które ją doskonale podchwytują. Otóż psy mogą być włożone specyalnie do wyszukiwania porostków zrzuconych. Mówię to z doświadczenia innych, bo ja byłem całkiem nieszczęśliwym na tem polu, a pies, który doskonale wyszukiwał i aportował parostki rzucone umyślnie, w lesie zdawał się zupełnie zapominać o swej roli, i kończyło się wszystko na wystraszeniu kilku biednych szaraków, na harmiderze, szczekaniu i skomleniu psa, a wybuchach złości z mej strony. Równocześnie, gdy ja oddawałem się osobliwemu sportowi, znalazł parostek chłop, który w więcej realistycznym pracował kierunku, wycinając obręcze na beczkę z kapustą.

* * *

Starałem się przedstawić tutaj normalny, a raczej sematyczny rozwój parostków tak, jak go w bardzo wielu wypadkach sprawdziłem i jak to już przedemną wielu obserwowało. Jednak grubo by się omylił każdy, ktoby sądził, iż kozioł najregularniej przechodzi w porach odrostowych owe formy, odznaczające się pewną ilością gałązek. Przeciwnie, występują tu odmiany, a mianowicie: cofanie się w rozwoju, odznaczające się wykształceniem mniejszej ilości gałązek w epokach późniejszych w porównaniu do ubiegłych, to jest pojawianie się form szpiczakowych w bardzo późnym wieku i przeciwnie, wkładanie 4 lub 6-gałęziowych parostków w pierwszej lub drugiej epoce odrostowej, tak, iż wśród tego chaosu odmian i wyjątków z wielkim trudem dotrzeć można do prawideł systemu. A mam tu na uwadze tylko takie odmiany i właściwości, które nie są bynajmniej wynikiem chorobliwości, lecz które wynikają ze stosunków bytowych, i częstokroć ustalają się w pewnej okolicy w typowych swych kształtach.

Mimo, iż forma szpiczakowa w swej epoce właściwej najmniej odmian przedstawia i jest poniekąd ogólną, trafiają się indywidua, które wcale szpiców nie wkładają, lecz wytwarzają zaraz w pierwszej epoce parostki rozgałęzione. Miałem sposobność widzieć koziołka, szpiczaka co do wieku, który wytworzył od razu nieparzyste pięcio-gałęziowe parostki, i oczyścił je z pojawieniem się zęba 4-go. Przyszedłszy w posiadanie głowy dopiero po uzębieniu, przekonałem się, że forma pierwotna nie wszędzie i nie zawsze występuje. Parostki te są 15 cm. długie, a na jednej łodydze brakuje gałązki tylnej, zresztą co do kształtu normalnej budowy.

Dość często pojawia się forma szpiczakowa w późniejszych epokach odrostowych, ba nawet u bardzo starych kozłów zdarzyło mi się ją widzieć. Tak silne cofnięcie się w rozwoju leży zwykle w niekorzystnych stosunkach bytowych dotyczącego roku, a parostki szpiczaste starszych kozłów dadzą się odróżnić od właściwych szpiczaków mniejszem lub większem skrzywieniem w miejscach, skąd zwykle gałązki wyrastają.

Rutynowany myśliwy pewno się tutaj nie pomyli, dyletanci zaś pozorem parostek łatwo łudzić się mogą, zwłaszcza w sukni letniej, bo wątpię, by w sukni zimowej pomyłka taka była możliwą, jeżeli tylko rozwaga i dobre oko panuje nad gorączką myśliwską. Charakterystyczne zabarwienie szyi zwierząt starszych stanowi tu cechę najpewniejszą, bo różnica wielkości niezawsze wystarcza, a bacząc tylko na nią i najwprawniejszemu omylić się nie trudno. Cienie lasu, rozmaite zabarwienia ziemi i tła, wreszcie niezawsze dająca się ocenić odległość, wprawiają w złudzenie optyczne, tak, iż pomyłka co do wielkości jest bardzo możliwą, wiadomo bowiem, że przedmioty jasne na tle ciemnem wydają się zawsze dla oka większymi i przeciwnie, że więc i słońcem oświecony szpiczak na tle czarnej torfowej ziemi może złudzić wielkością nawet wprawne oko.

Parostki drugiej epoki odrostowej najczęstszym podlegają zmianom, a są miejscowości, w których widełki u kozłów absolutnie nie wyrastają, i szpiczak po zrzuceniu parostków pierwotnych, wykształca od razu 6-cio gałęziowe parostki, bądź parostki o nieparzystej liczbie gałązek (5), w których zwykle gałązka tylna nie przychodzi do rozwoju, jakkolwiek nieparzyste tej epoki parostki, w których się nie rozwija gałązka przednia, nie należą również do rzadkości.

W innych znów miejscowościach dominują w trzeciej epoce odrostowej parostki, u których rzadko tylko zdybać można wyraźnie wykończonych 6 gałązek; przedstawiają się one jak widełki, i tylko niewielki karbik w miejscu gałęzi tylnej wskazuje przy pomocy zmian w uzębieniu, że ma się przed sobą parość trzeciej epoki. Forma ta zdaje się nawet ustalać w pokoleniach, a izolowane i na samochów skazane rewiry najwięcej mi takich przykładów dostarczyły.

Jest rzeczą łatwo zrozumiałą, iż, pominąwszy działania inne, stosunki bytowe, oddziałujące korzystnie na cały organizm, działają również korzystnie i na rozwój parostków. Przeciwnie, w okolicach o ziemi pustej, wobec złej lub niedostatecznej wody, wytwarzają się organizmy wątłe i takie też parostki. Jestto więc reguła, że w stosunkach korzystnych wyprzedzają się, w niekorzystnych zaś, cofają się formy rozwojowe parostków.

Jest jednak rzecz pozornie zadziwiająca, iż zdarzają się okolice, w których obok bardzo silnie rozwiniętego organizmu, wielkiej wagi i dobrej w swym czasie łojności, znajdują się kozły o parostkach, bądź wątłych, bądź zacofanych w swym kształcie. Widocznie jakaś przyczyna ogólna działa tu wybitnie na rozwój parostków; otóż jest nią brak składników w żywności, koniecznych do szybkiego i normalnego wytwarzania parostków.

Objawy te dają się spostrzegać w okolicach nizinnych, które, chociaż obfitują w wodę i bujną roślinność, nie dostar-

czają jednak pożywienia, bogatego w sole mineralne, a w szczególności we fosforany, dla rozwoju kości niezbędne. O wiele też silniejsze parostki zdobią głowy kozłów w okolicy wapiennej, chociaż pagórki jej okrywa szczupła i niepokaźnie wyglądająca roślinność. Wynika stąd, że wytwarzanie parostków leży w ręce człowieka, a bardzo liczne doświadczenia w Niemczech i we Francyi udowodniły, iż przez lizawki, zawierające składniki mineralne, do produkcyi parostków niezbędne, można skutecznie wpłynąć na rozwój parostków.

Kozły, żywiące się na polach, nawożonych mączką kościaną, wykształcają silne i piękne parostki, a ponieważ nawożenie takie na wielką skalę ma miejsce w okolicach forsownej kultury buraków, to też w okolicach tych odznaczają się kozły pięknymi parostkami *(Neue deutsche Jagdzeitung 1891)*.

U normalnie rozwiniętego parostka 3-ciej epoki wyrasta gałązka przednia mniej więcej w $^3/_5$ wysokości łodygi, mierząc od dołu, często jednak spotykają się wyżej, a rzadziej niżej, nadzwyczaj zaś rzadko wysuniętą jest o tyle do góry, iż tworzy z łodygą i gałązką tylną kształt krzyża. Parostki tego rodzaju są rzadką zdobyczą i prawdziwym na tem polu białym krukiem, że zaś istnieją, to rzecz pewna, bo posiadam tego dowody w rękach i widziałem takie parostki po zbiorach. Kształt ten jest wynikiem indywidualnej właściwości i w tem polega jego rzadkość.

Z tego, co tutaj o najrozmaitszych odmianach form rozwojowych powiedziałem, wynika, że ilość gałązek jakoteż ukształtowanie całych parostków nie może służyć za pewne i niezawodne kryteryum wieku nawet do trzeciej epoki odrostowej, z którą normalny rozwój się kończy. Jedynie uzębienie przy pomocy cech wiekowych na guzach, o których już mówiłem, uprawnia do stawiania pewnych w tym względzie wniosków. Dlatego też, dla interesujących się tym przedmiotem bliżej, konieczną jest rzeczą zapoznanie się dokładne z peryodyczną zmianą uzębienia sarn, która już po dziś dzień dostatecznie zbadaną została.

Naturalista Blasius twierdzi, iż pewną podstawą do ocenienia wieku jest samo ukształtowanie łodygi parostkowej, która w pierwszej epoce jest prostą, w drugiej powyż połowy swej długości przedstawia lekki kąt zgięcia ku tyłowi, w trzeciej zaś zwraca koniec swój ku przodowi. Zgięcia te, widoczne nawet przy braku gałązek, mają być dostateczną cechą do oznaczenia epoki odrostowej.

W późniejszym wieku, gdy uzębienie nie może dać już pewnych wskazówek, mamy tylko cechy, po których jedynie w przybliżeniu da się oznaczyć wiek zwierzęcia. Należą tu, obok już omawianych zmian na guzach i dywergencyi końców parostkowych, także t. z. perły, t. j. twarde i masywne narośla najrozmaitszych kształtów na powierzchni parostków, niemniej silny rozwój róż, przy którym zupełne ich zetknięcie następuje.

Zdarza się widzieć parostki, których powierzchnia zupełnie gładkich płaszczyzn prawie nie posiada; są one od spodu aż do góry okryte stykającymi się ze sobą perłami, chyba tylko szczyty gałązek, w skutek mechanicznego zużycia, otarcia, świecą gładką, białą powierzchnią kości. Parostki takie, w przeważnej liczbie wypadków, należą do zwierząt starych; mówię w przeważnej liczbie, bo są znów miejscowości, w których silne operlenie cechuje także parostki pierwszych epok, podczas gdy znajdujemy okolice, w których kozły aż do śmierci nieznacznym tylko operleniem parostków się odznaczają. Operlenie zatem wzmaga się z wiekiem, a niezliczone wyjątki zdają się mieć przyczynę w stosunkach bytowych.

Jakiegokolwiek rodzaju i wyglądu jest operlenie parostków, jedną posiada stałą cechę: perły występują zawsze obficiej na wewnętrznej stronie parostków i są tu daleko większe, niż na stronie zewnętrznej, i chociaż zdarzają się parostki, których operlenie zda się być zupełnie jednostajne, przecież oko prawdziwego znawcy potrafi dojrzeć różnicę i rozpozna po zakryciu gałęzi i róży, jedynie po operleniu łodygi, którą stronę parostka ma przed sobą.

Parostki prawie zupełnie gładkie posiadają zawsze kilka nieznacznych pereł na wewnętrznej stronie; jest to zatem cecha powszechna, a wyjątki należą do stanów patologicznych.

Fałszywe pojęcie o możliwym rozwoju parostków naszych kozłów daćby mogły z rzadka spotykane po kolekcyach parostki olbrzymich kozłów, pochodzące bądź od zwierząt z epoki dyluwialnej, bądź od jakiejś może odmiany, wymarłej już w czasach historycznych. Parostki te noszą na sobie cechy, odróżniające je bardzo wybitnie od gatunku dziś żyjącego. Pominąwszy bowiem nadzwyczajne rozmiary i wagę, do których parostki naszych kozłów, wobec najbardziej sprzyjających stosunków, nawet w przybliżeniu nie dochodzą, róże ich są bardzo szczupłe i niestykają się ze sobą.

Istnienie dyluwialnych kozłów sprawdzono w rozmaitych miejscach, a mianowicie w północnych Niemczech, w Anglii, w tak zwanej „warstwie lasowej“ na wybrzeżu hrabstwa Norfolk, a najnowsze badania (Rütimajer) odkryły szczątki tego zwierzęcia w najstarszych budowlach palowych w Szwajcaryi, jeszcze z epoki krzemiennej. Resztki owych kozłów dziwnie się zgadzają z budową dzisiejszej naszej odmiany sarn, a pytanie, skąd się wzięły olbrzymie parostki kozła zwanego przez Niemców „Urbock“, jest do dziś otwarte.

Kobell przypisuje parostki te zaginionej już w czasach historycznych odmianie kozłów (Wildanger, Szkice myśliwskie, Studtgard 1859). Czyli zaś odmiana owa zamieszkiwała Europę, lub czy parostki owe przywiezione zostały z innych części świata i sprzedane amatorom — o tem milczy pismo i tradycya. Fakt, iż parostki tego rodzaju znalazł pułkownik Challand w Thurgau, wiszące prawdopodobnie jako amulet nad drzwiami stajni, zdaje się dowodzić iż znaleziono je na miejscu, t. j. w Szwajcaryi, bo trudno przypuścić, aby nabyty za drogie pieniądze przedmiot egzotyczny amatorstwa, wieszano nad drzwiami stajennymi.

Nie przykładając wielkiej wagi do podań Kobella, który, mówiąc mimochodem, obok mineraloga był także i poetą, zwłaszcza, że podania te na żadnych danych nie są oparte, przypuścić tylko można, iż ów „Urbock“, podobnie jak wiele wytępionych już odmian, zamieszkiwał i naszą część świata. Kiedy zaś ostatni egzemplarz tej odmiany uległ bądź pod grozą przemian klimatycznych, bądź pod grotem człowieka lub zębem drapieżcy, o tem brak wszelkich danych, podobnie jak o zaginionym jeleniu olbrzymim *(Megaceros hybernicus, Cervus caryceros)*, o którego istnieniu chciano wyprowadzić dowód z średniowiecznej epopei, z Nibelungów twierdząc, iż „grimmer Schelch“ jest ówczesną nazwą olbrzymiego jelenia.

Doświadczenia, dotyczące wieku, do jakiego kozły odnawiają parostki, są jeżeli nie niemożliwe, to przynajmniej bardzo a bardzo trudne. W czasach obecnych, gdzie ustawy ochraniają kozy, dostarczają kozły niemal wyłącznie sarniny, to też nie dziw, że są już okolice, w których za gorżkiem

utyskiwaniem na szkody przez sarny w lasach wyrządzane, idzie znów skarga na brak kozłów i często występującą jałowiznę sarn.

To, co się obecnie po lasach spostrzega, uprawnia niemal do wypowiedzenia opinii, iż nie istnieją już wcale kozły w normalnych warunkach, któreby parostek nie odnawiały. Parostki zaś starych bardzo, potężnych kozłów, z grubymi guzami i w e m c h u, które miałem sposobność widzieć, jako pamiątki dawnej naszej fauny leśnej, każą się domyślać, iż odnawianie parostków trwa bardzo długo, aż do zgonu.

W domyśle tym wspiera mnie sprawdzony już po dziś dzień związek między życiem płciowem a odnawianiem parostków. Jeżeli u zwierząt domowych, w granicach umiarkowanych utrzymywane życie płciowe, trwa niemal do śmierci, a zatem do późnej starości, to tem bardziej musi to mieć miejsce w wolnej naturze, gdzie walka o prawa przyrodzone usuwa osobniki słabsze, a przyroda w rozmaity sposób niszczy organizmy, niezdatne do wypełniania jej praw. O d n a w i a n i e z a t e m p a r o s t k ó w, ś c i ś l e z w i ą z a n e z ż y c i e m p ł c i o w e m, t r w a t a k d ł u g o, j a k d ł u g o f u n k c y o n u j ą o r g a n a p ł c i o w e.

Jeżeli częstokroć w naszem życiu myśliwskiem spotykamy egzemplarze, które bądź to raz włożonych parostków nie zrzucają, bądź nowych parostków nie wkładają — to z pewnością zaszły tam jakieś zmiany patologiczne w organizmie, trwałe lub przemijające, które również i na peryodyczną zmianę w parostkach oddziaływują. Że zaś istnieje wpływ organów płciowych na proces wytwórczy parostków wszelkiego rodzaju w całej rodzinie pełnorożców, dowodzą tego doświadczenia z kastratami. I tak kastracya, dokonana po wykształceniu guzów, powoduje zupełną stagnacyę, i parostki nie przychodzą do rozwoju, jeżeli zaś operacyę tę wykonano po włożeniu parostków, lecz przed ich wykształceniem, t. j. gdy są jeszcze w scypule, natenczas ustaje dalszy rozwój prawidłowy, a występuje chorobliwy proces ropienia, rozciągający się nawet na kości czaszkowe, niszczy parostki i staje się nawet przyczyną śmierci zwierzęcia, lub powoduje monstrualne nowotwory, znane pod nazwą parostków p e r u k o w y c h.

Gdy parostki są już zupełnie wykształcone, natenczas kastracya pociąga za sobą dożywotne ich utrzymanie.

Koźlę, operowane przed okazaniam się guzów, nie wytwarza ani guzów ani parostków, a głowa takiego kastrata nie różni się wcale od czaszki sarny.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wycieczka na błota pińskie.

Z relacyi podróżnej F. C. Kellera.

.....Wyjechałem koleją ku Dąbrowicy. Podróż ta bardzo jest urozmaiconą i bawi oko całym szeregiem niezwykłych obrazów.

Przez olbrzymi kraj bagien zbudowano tu kosztem nadzwyczajnym linię kolejową. Wielkie przestrzenie musiano przy tej sposobności za pomocą kanałów osuszać, przez wiele miejsc dawać nasypy i niezwykle długie mosty rzucać przez rzeki i odnogi wód moczarowatych. Podróżny widzi przed sobą już to rozległe bagna, okryte tu i owdzie krzakami, pojedynczo sterczącymi drzewami lub całymi gąszczami trzciny — już to zaniedbane lasy lub źle uprawne pola. Ostry świst lokomotywy płoszy niejednokrotnie całe chmury błotnego ptactwa, a wśród jego krzyków dziwnie brzmi cywilizacyjny łoskot żelaznej kolei. Ponieważ zaś pociąg nie pędzi zbyt spiesznie, więc podróżny dosyć ma czasu, ażeby się tej zmiennej panoramie przypatrywać.

Przyjazd mój do Dąbrowicy był zapowiedziany. Oczekiwał mnie też na stacyi zaprzężony w trójkę koni wózek, którym dalej w kierunku wschodnim odbywać miałem podróż przez błota. Na małej wąskiej dryndzie zaledwie siebie i najkonieczniejsze rzeczy pomieścić mogłem; resztę rzeczy i mój namiot zostawić musiałem w Dąbrowicy.

Fatalna to była podróż! Wózek albo grzązł po osie w błocie, wyrzucając kołami wodę lub kawałki torfu, albo skakał po korzeniach i pniakach. A czy to piasek lub woda, czy błoto, czy tarasiaki — czy konie plątały się nogami we faszynach, czy grzęzły po kolana w błocie — o to nie pytał się wcale woźnica, a najmniej dbał o to, co się dzieje z jego pasażerem.

Jadąc tymi drogami można i kilka mil żadnego podróżnego i w ogóle drugiego człowieka nie spotkać, taki tu kraj pusty i zapadły.

Po trzydziestoszeście-godzinnej podróży, bez ważniejszego zresztą wypadku, prócz obryzgania błotem powyżej uszu, przybyłem wreszcie do celu mej podróży. Zamieszkałem tu w niewielkim domku, z którego okien rozległy miałem widok na bagna i sąsiednie lasy. Wytrząsłszy się do syta na wózku, rozciągnąłem się z rozkoszą na jakiejś starożytnej sofie i z nieodstępną fajeczką w ustach rozglądałem się po nowem mieszkaniu, słuchając z lubością syczenia samowara.

Znaleźli się wkrótce zamówieni naprzód strzelcy, gajowi i dozorcy leśni. Poopisywali mi oni miejscowości, w których wedle ich mniemania miały się łosie znajdować. Charakterystyczne bardzo były odpowiedzi tych ludzi. Krótko, w kilku zaledwie słowach, wbrew zwyczajowi myśliwych, opowiadali mi o ostojach łosi i o polowaniach na nie, tak, że można im było najzupełniej zawierzyć.

Po krótkiej z tymi ludźmi rozmowie, ułożywszy plan kampanii myśliwskiej na dzień następny, znużony, udałem się na spoczynek.

Dzień następny, mimo nie bardzo jeszcze spóźnionej pory roku, był prawdziwie jesienny. „Przędza Matki Boskiej“ czepiała się wszędzie około drzew i krzewów, za każdym krokiem przerywało się mnóstwo tych cieniutuich wilgotnych nitek pajęczyny, które osnuwały twarz i wciskały się aż do oczu. Nad błotami unosiła się ciężka, nieprzedarta mgła. Z powiewem porannym kłębiła się i toczyła, tak, że

cała okolica zdawała się być w jakiś falisty ruch porwaną. Tu owdzie zrywała się czapla lub inny ptak błotny i wnet niknął w tym szarym chaosie. Wyziew cały był bardzo ostry i przejmujący — znacznie ostrzejszy, niż się to na naszych mniejszych błotach zdarza.

Towarzysze moi szli przodem, ja zaś na koniu zwolna jechałem za nimi. Wszyscy mieli jedynie gładkie pojedynki albo siekańcem, albo dobrze nałojonymi pasowanymi kulami nabite. Ja miałem mój sztuciec, który na mocy specyalnego pozwolenia przez granicę austryacką przewiozłem.

Około dziewiątej godziny rozstąpiły się nagle mgły i mogłem przeglądnąć nasz teren myśliwski. Przedemną rozciągała się znaczna przestrzeń wód bagnistych, na których gdzieniegdzie sterczały pojedyncze olchy, brzozy, sosny, i rozmaite krzewy ne przemian z kupkami sitowia lub trzciny. Woda nie stała wyżej nad pół metra, tak, że mogłem przez nią wygodnie na koniu człapać, podczas gdy moi towarzysze brodzili pieszo. Dostaliśmy się w ten sposób do małego ostrowu, niewięcej nad pięć mtr. kwadratowych mierzącego, i tu obrałem sobie stanowisko wśród klombu brzóz i sosen, które mnie wybornie zakrywały. Konia zabrał jeden z naganiaczy ze sobą, ja zaś, za pomocą mego tasaka myśliwskiego, urządziłem sobie wygodne siedzenie, zanosiło się bowiem na dość długie czekanie, gdyż naganiacze musieli bardzo wielki łuk obejść, aby łosie na moje stanowisko wypędzić. Czas czekania uprzyjemniłem sobie oglądaniem przeróżnych gromad ptastwa, które, krzyżując się tu i tam, ponad moczarem krążyło.

Po dość długiem czekaniu usłyszałem wreszcie plusk i stąpanie w wodzie, a zarazem ujrzałem dwa jakieś ciemne cielska, przesuwające się przez grupę krzewów ku otwartej płaszczyźnie wody. Spojrzałem przez lunetę — istotnie cztery łosie, a między nimi byk, sztuka kapitalna.

Nie przeczuwając zasadzki zbliżały się powoli, chwilami oglądały się w koło siebie, to znowu brodziły po wodzie. Już były może na jakich 400 kroków odemnie, zmieniły kierunek i zwróciły się wprost na mnie. Dreszcz przebiegł mi po ciele, pulsa uderzają mocniej, lecz palec znów na cynglu spokojnie spoczywa. Czekam, aż się na strzał przybliżą, gdy wtem jeden z naganiaczy, chcąc mnie o łosiach uwiadomić, przyłożył ręce do ust i z całych sił krzyknął: „Łoś, łoś!“

Jak piorunem rażone rzuciły się zwierzęta w przeciwną stronę i wkrótce znikły mi za gestwiną, a wraz z nimi znikła i moja nadzieja upolowania łosia. Przekleństw, jakich naganiaczowi temu nie szczędziłem, niech czytelnik, jeśli ciekawy, łaskawie poszuka w jakim myśliwskim leksykonie. A jednak naganiacz ów zrobił to w najlepszej myśli, chcąc mi wyświadczyć przysługę! Pech!

Zaglądnąłem do mojej torby myśliwskiej, ażeby coś przekąsić i cierpliwiej naganiaczy i konia się doczekać. Lecz co dalej robić? Sprawa z łosiami była już na dzień ten skończona. Po długiej naradzie postanowiłem zatem, zmieniwszy lufki, chociaż na ptactwo błotne zapolować. Naganiacze mieli przebuszować zarośla, trzciny i sitowia, a ja miałem powoli jechać przez otwarte przestrzenie wodne. Myśl była oryginalna, postanowiłem więc zrobić próbę.

Po kwadransie może wszczął się gwar i pukanina wśród trzcin i krzaków i całe stada rozmaitego ptactwa wodnego, kaczek różnych gatunków, kurek, czapel i kormoranów, zaczęły przelatywać przedemną tak gęsto, że strzelałem do całych gromad, a po jednym strzale często kilka sztuk padało na wodę.

Na tem dość zajmującem polowaniu zeszło mi kilka godzin. Było ono niejako wynagrodzeniem za nieudałą wyprawę na łosie i dało plon bardzo obfity.

Następny dzień zajaśniał całym przepychem ostatnich dni pogody jesiennej. Miliony kropel rosy połyskiwały jak brylanty na listkach drzew i krzaków, przeróżne ptactwo przeciągało i krążyło ponad błotami. Oryginalny, choć nie zawsze melodyjny koncert przeróżnych głosów brzmiał mi w uszach. Promienie słońca błyszczały na powierzchni wód i mieniły się na niej wszystkimi kolorami. Gdy się coś w moczarze ruszyło, to bryzgało jak gdyby ogniem greckim. Brzozy i sosny stały w aureolach promieni, a z każdą minutą zmieniał się obraz i przechodził w nową grę barw i światła. Pióro jest za słabe, ażeby dać wyraz tej niewysłowionej wspaniałości, jaką tu słonko jasnego poranka wytworzyć jest w stanie.

Przyglądałem się temu wszystkiemu, podziwiając naturę i jej cuda, a tymczasem naganiacze i myśliwi moi ściągnęli się — więc dalej znów na błota!

Ułożywszy jak zwykle plan naprzód, wyruszyliśmy tym razem w innym kierunku, aby spotkać się z łosiami. Teren nieco falisty był miejscami suchy, miejscami, jak w ogóle, bagnisty, tak, że koń z trudnością mógł postępować i nieraz po brzuch się zapadał. Wkrótce więc zsiadłem z konia i brodząc po kolana, dotarłem pieszo do swego stanowiska.

Tutaj, w około siebie, na mil kilka nic widziałem nic, tylko — wodę, która w najpłytszych miejscach sięgała mi po kolana. Gdzieniegdzie tylko sterczały krzaki lub grupy trzciny i sitowia, albo gęstwina krzywych brzóz, a zresztą nic, tylko woda. Przyjemnem stanowisko takie nie było wcale, jednak dla miłości polowania trzeba się było i z tem zgodzić.

Mój przewodnik opuścił mnie. Prawie bez szmeru brodził przez bagniste wody, ja zaś, udeptawszy sobie o ile możności najdogodniej stanowisko, czekałem.

Wkrótce wspaniały orzeł bielik i para czapel purpurowych przeciągnęły nad moją głową. Musiałem je jednak puścić bez strzału — spodziewając się łosiów.

Wreszcie, po długiem czekaniu, okazały się daleko dwa czarne punkty na powierzchni wody. Zbliżały się dość szybko. Poznałem łosie. Na trzysta może kroków rozpoznałem słabą sztukę, za którą wspaniały byk, widocznie zaniepokojony, z nadzwyczajną ostrożnością postępował. Wiatr miałem wyborny, mogłem się więc spodziewać, że przyjdę do strzału. Postępujący za łosiami naganiacz zmusił je do przyspieszenia kroku i napędził je wreszcie na jakich sto kroków na mnie. Zmierzyłem spokojnie i celnie — rozległ się strzał. Łoś skoczył w górę. Poprawiłem tedy drugą kulą, po której łoś gwałtownie przodem ciała się rzucił, a następnie jak szalony popędził. Nie był chybiony — to mnie pocieszyło — włożyłem więc dwa nowe patrony, a gdy i nagonka się ściągnęła, puściłem się za postrzałkiem.

Sierć i farba pływały na powierzchni bagniska, poszedłem więc dalej, śledząc farbę na ciemnej, spokojnej wodzie. Naganiacze puścili się jak tropowce naprzód i wkrótce rozległ się ostatni strzał z ręki jednego naganiacza, a za nim wrzaski radości. Gdym zdążył przybyć na miejsce, wyciągano już łosia na suchą ubocz. Oba moje strzały były śmiertelne.

Jakiej doznałem wtedy radości, każdy myśliwy łatwo pojmie. Łyknąłem z manierki głęboko na trupa — i dopiero potem pomyślałem o tem, aby się oczyścić z pijawek, które całymi tuzinami u nóg mych wisiały, ale dzięki gęstej tkaninie okrycia, krwi ze mnie nie wytoczyły.

Niebawem nadszedł ostatni naganiacz i doniósł, że w niedalekiej gęstwinie znalazł rozdartego, jeszcze prawie ciepłego, młodego łoszuka, który według jego mniemania padł ofiarą wilków. Było to bardzo prawdopodobnem, zwłaszcza, że wilki w tych okolicach często się pojawiały.

Ponieważ mieliśmy nadzieję, że wilk powróci do porzuconej ofiary, której nie mógł za sobą powlec — postanowiliśmy nań urządzić obławę, zwłaszcza, że w dniu tym nie było już co liczyć na łosie.

Czterech naganiaczy zostało wydelegowanych, aby ubitego łosia, ważącego z górą dziewięć cetnarów, przenieśli przez błota i w bezpiecznem złożyli miejscu; ja zaś, z odkrywcą wilczej zbrodni poszedłem, aby oglądnąć zagryzioną ofiarę. Po kilku minutach drogi znaleźliśmy w istocie dość dużego łoszuka, z okropnie rozszarpanym brzuchem, z którego wnętrzności wisiały. Wilk został widocznie na wstępie swej biesiady spłoszony.

Wynalazłszy sobie odpowiedne stanowisko w gąszczu iw i łoziny, posiliłem się nieco i postanowiłem czekać przybycia drapieżcy.

Po upływie godziny zaczęły się do ścierwa ściągać kruki. Krążyły chwilę, wreszcie pomału spuściły się na ziemię, a wydziubawszy ślepie łoszukowi, rozpoczęły ucztę.

Po niejakim czasie zaszeleściało coś w gąszczy i nasz rozbójnik wychylił ostrożnie z krzaków głowę. Ujrzawszy kruki na ścierwie, był przekonany, że mu żadne nie grozi niebezpieczeństwo. W kilku więc skokach znalazł się przy swej ofierze, a odpędziwszy natrętne ptaki, stanął przedniemi łapami na łoszuku i oglądnąwszy się w około, zabrał się do żarcia. Niedługo jednak używał — gdyż przywitałem go kulą z dubeltówki, a mój towarzysz poprawił siekańcem i wilk, zwinąwszy kilka koziołków, rozciągnął się obok swej ofiary. Był to stary samiec żółtawej maści.

Słońce miało się już ku zachodowi. Zadowolony z dnia, powróciłem do domu. W kwaterze mojej zapanowała wielka radość, gdy się dowiedziano o zabiciu wilka, który był plagą mieszkańców.

Moi naganiacze i strzelcy, uradowani także pomyślnym wynikiem polowania, przehulali całą prawie noc, tak, że nazajutrz sam musiałem puścić się na polowanie, z nimi bowiem nie mogłem dojść do ładu.

Postanowiłem tedy zapuścić się w pobliski las i zapolować na jarząbki. Stary jeden leśnik odgadł widocznie mój zamiar, sam bowiem zapytał, czy nie mam ochoty zapolować na jarząbki i ofiarował mi się na przewodnika. Opowiedział mi on po drodze, że sam był kiedyś myśliwym, lecz, że teraz noga mu niedomaga i musiał wycieczki swe ograniczyć. Jakkolwiek nie bardzo wierzyłem w jego wiadomości myśliwskie, zgodziłem się jednak na jego towarzystwo i wcale tego nie żałowałem.

Gdyśmy już weszli do lasu, w którym się miały znajdować jarząbki, wydobył stary całkiem prymitywną kościaną piszczałkę i zaczął wabić, ale tak, że aż serce rosło. Zaraz odezwał się jakiś kogut, lecz gdy nie chciał się jeszcze zbliżyć, stary począł naśladować swą czapką łopot skrzydeł przelatującego jarząbka. Było to tak łudzące, że gdy potem jeszcze raz, ale nieco silniej, na wabiku zaświstał, przyleciał wabiony kogut i usiadł na gałęzi, gotując się do walki z przeciwnikiem, a nim się opamiętał, już dosiągnięty moim strzałem, leżał na ziemi. Z pewną dumą i zadowoleniem podniół stary zdobycz i przytroczył ją do sznurka, którym był opasany. Za chwilę znowu rozpoczął wabienie i wnet druga sztuka dostała się w nasze ręce.

Tak polowaliśmy kilka godzin, ubiwszy również kunę, która, słysząc wabienie, zatrzymała się, chcąc snać sama na jarząbki zapolować. Była to znacznie większa sztuka, niż się w naszych lasach trafiają.

Oczy starego mego towarzysza iskrzyły się przy każdym strzale — a jego wabik naśladował wszystkie stadya podniecenia i zazdrości, to znowu jakiegoś tkliwego uczucia, które od czasu do czasu do każdego serca się wkrada i szybciej bić mu każe. Był on na swym prymitywnym instrumencie istnym mistrzem, jakiego ani przedtem, ani potem nigdy w życiu nie zdarzyło mi się spotkać.

W czasie tego polowania dałem mu raz moją strzelbę. Ujął ją w drżące ręce, jakby niepewnie, ale gdy w tej chwili jarząbek nadleciał, złożył się szybko i celnym strzałem ściągnął ptaka na ziemię. Gdy mi z podziękowaniem oddawał strzelbę, wyczytałem we wzroku jego i w całej postaci, że mimo dziewięćdziesięciu blisko lat, prawdziwa krew myśliwska płynie w jego żyłach.

Obciążeni zdobyczą i uradowani świetnym wynikiem polowania, mieliśmy się już ku domowi. Przechodząc przez niewielką jakąś osadę, zauważyłem przy drodze stary, schnący dąb, zieleniący się ledwo kilku konarami, który na pniu miał jakieś znaki powypalane. Nie mogłem dojść, coby one miały znaczyć, lecz stary mój towarzysz opowiedział mi następującą historyę tego dęba.

Przed wielu laty jakiś wysoki dostojnik przejeżdżał z liczną świtą przez tę osadę. Przypadkowo ujrzał tu piękne młode dziewczę, chlubę rodziców i prawdziwą perłę całej okolicy. Zapałał też chęcią posiadania pięknej dziewczyny i narzucił się jej z swymi oświadczynami, dziewczę wszakże i jej rodzice odmówili z pokorą ale stanowczo. Ani prośby ani groźby ze strony dostojnika na nic się nie przydały. Stary rozpustnik zapałał więc szalonym gniewem ku nieszczęsnemu dziecku. Kazał ją porwać i siłą przywlec do tego, podówczas jeszcze zielonego dębu. Tu przywiązano ją nagą zupełnie do pnia, skrępowano ręce i nogi i tak oddano na pośmiewisko wyuzdanych dworaków. Nadarmo błagała litości i jęczała; przez kilka godzin musiała słuchać szyderstw i naigrawań służalczej zgrai. A gdy już zemście dostojnika stało się zadość, osmagano jeszcze do krwi biedną ofiarę i zagnano wreszcie do domu.

Wszyscy byli postępkiem tym oburzeni, lecz nikt nie śmiał przeciw woli dostojnika wystąpić. Ale niebo zesłało mściciela. Gdy na drugi dzień jechał ów dostojnik w swym powozie przez las, tknięty został nagle apopleksya i zakończył żywot. Tak przynajmniej opowiadano dla ukrycia prawdy, bo w istocie nie apopleksya to była, lecz kula, którą wypuścił z swej flinty jakiś zapewne tajemny adorator katowanej dziewczyny, pomściwszy się tym sposobem za hańbę niewinnej.

Od chwili owego zajścia zaczął ów dąb nagle usychać, tak, że już tylko kilka zielonych gałęzi na nim się dziś błyszczy. Na pamiątkę zaś tego zdarzenia, wyryto na pniu kilka słów, które mają potomnych pouczać, że smutnym zawsze bywa koniec ludzi, którzy się gwałtów i okrucieństw dopuszczają.

Na tem skończył stary swe opowiadanie, westchnął i szedł milczący obok mnie. A jak później słyszałem, jego samego podejrzywano o to, że był mścicielem shańbionego dziewczęcia.

(Dok. nast.)

Wspomnienia z polowań

w Turzy-Wielkiej

(w pierwszem sześcioleciu).

Ze łzą w oku, z sercem pełnem żałoby, biorę pióro do ręki, by skreślić kilka słów o chwilach, które spędziłem wśród drogich towarzyszy, z których niestety jeden tylko zostaje przy życiu. Dwóch już niema, a zimna ziemia pokryła ich swą mogiłą, już kwiaty po dwakroć zakwitły i zgasły na ich grobie. Lecz serce me myśliwskie bije dla nich zawsze żywo i wspomnienie o nich umysł zaprząta.

Jeden z nich był to mój ojciec, drugi nieoceniony dyrektor Edward Simon. O pierwszym tyle pisali, tyle pięknych wspomnień o uszy się obija; lecz o drugim tak mało kto pamięta. A był to może największy myśliwy swojego czasu, lecz, że był cichy, spokojny i że tę gorącą pasyę myśliwską uprawiał w tak małem i ścisłem przyjaciół kółku, dlatego o nim tak mało wspominają.

Tak wiek, jak i stanowisko, które zajmował dyrektor Simon, bardzo go odemnie różniło i oddalało, lecz pomimo to wielka nasza wspólna myśliwska namiętność tak bardzo nas zbliżyła do siebie, tak bardzo czciłem jego wielkiego ducha myśliwskiego, jego takt i łatwość obcowania z myśliwymi! To też najpiękniejsze chwile z mych najmłodszych lat spędziłem w towarzystwie nieocenionej pamięci dyrektora Simona, wśród głębokich lasów i jarów Turzy-Wielkiej, Balicz i Rachini.

Ileż to polowań odbyłem przez lat sześć pod berłem i przewodnictwem dyrektora Simona! Od niego nauczyłem się spokoju i taktu w prowadzeniu polowania, wagi zwierza, przesmyków jego, tropienia, oraz gruntownej znajomości kniei Turzańskiej.

Dyrektor był typem myśliwego-towarzysza. Zawsze wesoły, zawsze żartobliwy, z taką sobie właściwą delikatnością umiał skarcić i wyśmiać niesforność, gorączkę i zapamiętałość myśliwych, że go zawsze słuchano bez szemrania i złego humoru. A na dowód tego dodam, że ś. p. mój ojciec, który zwykł był na polowaniach przewodniczyć, dyrektorowi Simonowi zawsze ulegał, jego zdania słuchał, pod jego komendą czuł się szczęśliwym i sześć lat pod jego przewodnictwem w Turzy polował.

Dyrektor, choć wiekiem sterany, ze złamaną nogą, dziwnie się wspinał po stromych i przykrych parowach turzańskich, tak, że młodzi nie zawsze mu placu dotrzymywali. Nigdy zmęczenia na nim znać nie było, choć dzień cały nam przewodniczył; a gdy jeszcze pod wieczór tropiciel nam dał znać, że dziki o milę są otropione, wtenczas ni noc, ni daleka przez parowy droga, nic go powstrzymać nie zdołało, by jeszcze na dziki miot założyć.

Choć lubiał polować z nagonką, największem przecież zamiłowaniem jego było polowanie z psami na dzika. Pod koniec swego życia urządził sobie nadzwyczajną psiarnię. Zajęcia nie zawsze mu pozwalały jej używać, ale był najszczęśliwszy, gdy z nią do lasu mógł wyjechać i to polowanie największą jego było rozrywką. Z nim to użyłem tego polowania z psami na dziki, może po raz ostatni, bo ono coraz rzadsze. Ale błogie chwile ostatniego polowania tak mi żywo przychodzą na pamięć, że nie jestem w stanie nie przelać na papier wspomnień o znakomitej psiarni dyrektora Simona.

Pewnego dnia tropiciel, znany w Turzy pod nazwiskiem Pawła, dał nam znać, że dziki obległy w miocie między 6 a 7 szajcą w rewirze Bołochów. Ponieważ te dziki poprzedzającego dnia w tym miocie były, ale z powodu gęstych jodłowych zapustów na myśliwych nie wyszły, rozkazał dyrektor Simon puścić psy, a myśliwi mieli się dokoła rozłożyć. Z psami od strony wiatru i wchodnich tropów miał pójść jedynie leśniczy dyrektora, Stanisław, znany kłusownik; myśliwym jednak z miejsc nie wolno się było ruszyć pod żadnym warunkiem.

Nie jestem w stanie opisać tej radości, jakiej doznałem na wiadomość, że z psami na to stado dzików zapolujemy. A prześliczna była ta psiarnia dyrektora! Tropowiec, duży czarny ogar, nieco kudłaty, o kręcącym się włosie, białe miał podgardle i zwał się Kruk. Za nim, gdy puszczony na trop stada, już zaczął głosić, puszczono dwa Krasiaki, w czarne duże plamy, o piskliwym głosie kundysy, wreszcie żółtego Brysia, ogromne psisko o nieco niskich, jamnikowatych nogach i Dunaja czarnego, który był żółto podżary, a prędzej wyglądał na gończaka, niż ogara do dzików.

Obstawiliśmy się dokoła całego tak zwanego fachu, to jest pięciuset metrów wzdłuż a 1000 metrów w poprzek. Dyrektor obstawiał miot, a ja uprosiłem sobie miejsce na rogu linii i szajcy, aby więcej widzieć. Dyrektor, gdy wszystkich rozstawił, wrócił i stanął na linii niedaleko mnie. Czekaliśmy prawie godzinę, lecz jakież błogie było dla mnie to czekanie! Wszak miałem po raz pierwszy w życiu zobaczyć dzika przed psami, i nie żałuję tego czekania, bo gdy po długiej przerwie czasu usłyszałem po raz pierwszy urywany, basowy głos Kruczka, a po chwili piskliwe naszczekiwanie Krasiaków, fletowe rwanie się z łańcucha Dunaja i Brysia, to tak się tłukło w piersi to serce, jak nigdy przed śmiercią tłuc się nie będzie! O, jak byłbym pobiegł do miotu, do tej orkiestry! Lecz choć młody i gorący myśliwy, zanadto szanowałem rozkaz dyrektora, by pobiec do gąszczy i ruszyć się z miejsca. I wstrzymując oddech, każdy odgłos tego gonu i naszczekiwania chwytałem uchem w powietrzu, jak nigdy zwierzeń rozmarzonej kochanki słuchać nie będę.

Po chwili padły dwa strzały w środku miotu, kilka na linii, parę dzików przeszło przez nią w szalonym tempie, lecz gon trwał dalej, tylko nam w plecach. Wtem biegnie ku mnie dyrektor i ręką nagle pokazuje mi coś w plecach. Obróciłem się i zobaczyłem dzika, przeskakującego linię.

Pobiegliśmy ku miejscu gdzie przeszedł. W tej chwili czarny Kruk wypłynął z gąszczu i po wielkim, miękkim śniegu pływał jak okręt, sterując ogonem puszystym i naszczekując swym basowym głosem. Szczekaniem tem dawał znać reszcie towarzyszy, że się znowu na tropie dzika uchodzącego znajduje. To też zaraz za głosem profesora tropowca odezwały się piskliwe Krasiaki, zaczął Bryś i Dunaj, i wkrótce ujrzeliśmy resztę czterech psów, przepływających linię w śniegu z jęzorami wystawionymi, dążących w kierunku, w którym poszedł dzik i tropowiec.

Gdyśmy przybyli na miejsce, gdzie dzik przeszedł i psy za nim, zauważyliśmy, że dzik jasno i lekko farbuje. Ponieważ to była średnia sztuka, a było to w grudniu, obawiał

się dyrektor, że może mu najlepsze psy pociąć i gdy dalej naszczekiwania słychać było, rzekł do mnie:

— Poszedłbym sam ratować psy, ale z mą złamaną nogą w tym olbrzymim śniegu nie zajdę daleko. Jeżeli pan masz ochotę, do idź na odsiecz psom.

Nie trzeba mi było tego dwa razy powtarzać. Bez namysłu odpiąłem pasek, którym byłem spięty, zrzuciłem z siebie futerko i w kamizelce tylko ze strzelbą w ręku ruszyłem za głosem psów, gdzie już na miejscu zacięta wrzała walka. Lekko też mi było bez futra, a nadzieja osaczonego dzika dodawała mi sił i skrzydeł. To też w tym głębokim śniegu prędzej pływałem niż biegłem, ciągle w kierunku naszczekiwania psów, lecz ono niestety ciągle się odemnie oddalało, zamiast się zbliżać. I nie jeden parów w tem tempie szalonem przeszedłem i za każdym, gdy z niego wyłaziłem, zdawało mi się, że już tu-i-tu jestem przy psach. Ale złudna była to nadzieja, to tylko echo gonu się zbliżało, psy były jeszcze bardzo daleko, co chwila ich naszczekiwania ginęły w oddali, tak, że przystawać musiałem, aby się zoryentować w którą poszły stronę.

Pot się już lał ze mnie strumieniami, gardło wysychało, krew oblewała mi twarz, a serce tłukło się w piersi jak młotem, i pływałem po tym śniegu, niekiedy po pas się zapadając, to znowu potykając się na złomach i gałęziach.

Nie wiem, jak długo biegłem, lecz zdaje mi się, że bardzo długo, i gdy już zdawało mi się, że bliżej jestem pola walki — nagle — przeskakując łom zwalonych drzew równymi nogami — wpadłem po szyję w zaspę i to nietylko w zaspę śniegową, ale i w kupę zawalonych zgniłych konarów.

Czy może kto sobie wyobrazić moje położenie, kiedy mi chodziło o jak najszybsze przebiegnięcie tej przestrzeni, jaka mię oddalała od dzika i psów, a tu napotykam na taką przeszkodę? Z całem wysileniem starałem się wyskoczyć z tej zaspy śniegowo-próchnicowej, lecz zamiast wydostać się na wierzch, zapadłem się jeszcze głębiej. Oddechu mi już brakowało, zimno dotkliwe czuć się dawało, bo po za kołnierz, pas i za rękawy śniegu się nasypało i już myślałem, że w tej zaspie skończyć trzeba będzie. O, skończyć by nic złego nie było, lecz dojść wpierw do dzika, a potem niech się dzieje wola Boża!

.Całą siłą nóg i rąk rozparłem się w zaspie, i dopiero czołgając się na brzuchu wydostałem się z tej topieli śnieżnej po nie wiem jak długiem borykaniu się, cały mokry, zmarznięty i rozgrzany równocześnie. Lecz nie dosyć tego, bo gdy wytrząsłszy śnieg z za karku i z rękawów spoglągnąłem na strzelbę, rozpacz mię ogarnęła, łzy w oczach mi się zakręciły. Lufy pełne śniegu, — a tu gon się oddala i oddala. Zaczynam więc potrząsać strzelbą i dmuchać w lufy, by z nich śnieg wyrzucić, a tu na dobitek nieszczęścia, przy dwudziesto-stopniowym mrozie, wargi mi się przylepiły do lufy. Syknąłem z bolu i zacząłem tchem rozgrzewać lufy — nareszcie z bolem i pokrwawiony zdołałem je od ust oderwać. Nie zrażony tym bolem i niepowodzeniem, szukam naokoło pręta cienkiego, prostego, by go użyć jako ladsztoka do mych zapełnionych śniegiem luf; niestety żadnej prostej gałązki, wszędzie grube buki i jodły, nigdzie krzaku leszczyny lub kruszyny. Więc z ładunkami w ręku biegnę co tchu w kierunku głosu psów.

Już znowu mi się zdaje, żem bliżej pola walki, gdyż co raz wyraźniej słyszę naszczekiwania. Więc podwajam szybkość i nareszcie spostrzegam krzak leszczyny, a w nim prosty pręt, mogący służyć za ladsztok. Zatrzymuję się, aby zrobić operacyę z lufami — ręka mi znowu drży jak w febrze, czy z zimna, czy z emocyi, nie mogę trafić ladsztokiem do lufy. Nareszcie po długiem szturkaniu i dmuchaniu, jednak tym razem daleko już od lufy, usunąłem z luf śnieg, rzuciłem ladsztok, i w biegu wkładając ładunki przebyłem znowu szczęśliwie parów głęboki.

I coraz bliżej orkiestra psia dochodzi do mych uszu. Już mi się zdaje, że za pagórkiem, co przedemną stoi, ujrzę to, czego jeszcze oczy me nie oglądały, t. j. dzika osaczonego przez psy! Z wysileniem wybiegłem na górę, kilka razy potknąłem się znowu o zawalone łomy, i niestety nadzieja mię znowu zawiodła. Oto na dole znowu parów głęboki, głębszy niż te, które przebyłem, a tak kłodami i gałęziami zawalony, że chyba tylko ryś przez niego przejść zdoła. Gdy wtem nagle w pustym jarze ożywiło się. To rudel sarn, który tam na miękkich łożach z mchu leżał i nie daleko od słonych źródeł odpoczywał. W pierwszej chwili zdawało mi się, że to moje psy żółte, które ruszyły za dzikiem, lecz gdy te żyjące stworzenia wyskoczyły na drugi brzeg parowu, poznałem, że to sarny. Były tam dwa rogacze z omszonymi rogami i trzy siutki, stanęły spłoszone na brzegu parowu. Mimowoli chciałem strzelić, bo mam rodzinną słabość do rogacza, lecz rozum myśliwego przewyższył i pomyślałem: spłoszę sobie dzika i jeszcze raz tak daleko trzeba będzie iść za nim, a tu siły się wyczerpują. Choć nie było dużo czasu do przypatrywania się rudlowi, stanąłem jednak sekundę, lubując oko tym pięknym widokiem, jakie daje myśliwemu sarna spłoszona i nagle zaskoczona w legowisku. Stały zwrócone wszystkie pięć głowami ku mnie, rogacze tupały nogami co chwila, kozy zaś szeroko swe talerze roztwierały, strzygły łyżkami, z oka nie spuszczając miejsca gdzie przystanąłem.

Tymczasem gon mój się oddalał, więc zbiegłem w parów. Sarny przestraszone rozbiegły się na wszystkie strony, a rogacz jeden o mało mię nie przewrócił, gdyż mi wpadł pod nogi, snać źle się zoryentowawszy, z której strony nieprzyjaciel nadchodzi.

Wyszedłszy na drugą stronę parowu, natrafiłem na nieco mniejszy śnieg, to mi pogoń znacznie ułatwiło i zauważyłem, że pomimo, iż dzik się ciągle przed psami posuwał, odległość między nim a mną znacznie się zmniejszała. Jeszcze kilkaset kroków, a będę przy psach, będę na polu walki. Lecz oby tylko siły wystarczyły! Już nie sapię, ale chrapię, tak mi tchu brakuje, a skacząc przez kłody co chwila się potykam, zawadzając o nie. O św. Hubercie, dodaj mi siły, bym te kilkaset kroków jeszcze przebyć potrafił, a potem chętnie zginę, przybywszy do celu!

Coraz zażartsze naszczekiwania dowodzą, że dzik już w miejscu przystanął. To siły me podwaja, biegnę pędem szalonym, zdaje mi się, że walka tuż podemną w parowie. O nie! to jeszcze echo spróchniałych buków przybliża mi ją; złudna to jeszcze nadzieja, lecz czy dobiegnę, czy wystarczą siły, ciągle mi na myśli! Więc znowu nadaremnie przebiegłem ten parów, za nim dostałem się na rodzaj polanki, łożyskiem rzeczki Turynki zrobionej, która przecina wszystkie mioty w tutejszym rewirze.

Polanka ta, silnie kruszyną zarośnięta, utrudnia mi pogoń. Czuję, że na niej krwawy dramat się odgrywa, już mi przez krzewy błysł jeden z Krasiaków, już czarna postać dzika szarzeje w oddali. Przeciskam się przez gąszcze, nie pytam, że mi krzaki drą ubranie, twarz i ręce kaleczą, i z ostatniem wysileniem wpadam wreszcie na miejsce mniej zarośnięte, gdzie — o radości! wspaniały, a tak upragniony

widok przedstawił się moim oczom! Oto zadem oparty o buka stuletniego, siedział dzik, a ryjem oganiał się psom, co chwila mu zaskakującym z tyłu.

Czym w miękkim śniegu złamał suchą gałązkę, dość, że coś pod mymi nogami trzasło, dzik to usłyszał, rzucił okiem w mą stronę i ruszył z kopyta. Psy mię już zobaczyły i rzuciły się za nim, a ja znanym im głosem odezwałem się: „husz, husz pieski!“ Olbrzym tropowiec siedział mu na grzbiecie, Krasiak jeden i Bryś chwycili za tylne szynki, drugi Krasiak i Dunaj za uszy trzymały i dzik się nie ruszył. Przybiegłem do nich, chciałem dzikowi strzelić za ucho, lecz ani myśleć o tem, by strzelić pewnie bez postrzelenia psa którego. Przekonawszy się, że tym sposobem nic nie zrobię, starałem się rozgonić psy, aby, gdy one odskoczą, do dzika strzelić, lecz one tak zajadle trzymały, że żadnego nie można było spędzić z dzika.

Przypomniałem sobie wtedy, że mam kordelas, odrzuciłem więc strzelbę, — lecz, o zgrozo — przekonałem się, że kordelas przy zrzucaniu futra wraz z paskiem na linii odrzuciłem. Co tu począć w tem przykrem położeniu? Idę po rozum do głowy, i znajduje sposób. Oto miałem w kieszeni długi nóż myśliwski. Dostałem go też i zacząłem dzika z boku podchodzić i w komorę ciosy zadawałem. Pchałem nóż po samą rękojeść i kręciłem w ranie, zachęcając psy do coraz lepszego trzymania. Nareszcie zmęczony i zziajany tą wcale nie myśliwską operacyą, przestałem ciosy zadawać, gdyż widziałem, że dzik przez upływ krwi tak upadł na siłach, że klęknął, choć całkiem nie zginął. Czułem, że psy zmęczone słabiej już trzymały, on jednak iść już nie mógł.

Odetchnąłem wreszcie, lecz wtedy na myśl mi przyszło gdzie jestem! Ile ja łachów przebyłem, tegom w mej pogoni zauważyć nie mógł, bom na szajce nie zważał. Może przeszedłem granicę? Bóg wie, gdzie się zapędzić mogłem! Hopnąłem kilka razy co mi sił starczyło, lecz tylko mi buki i jodły echem odpowiedziały. Strach mię ogarnął, co się ze mną stanie! A przytem zimo dotkliwie czuć się dawało i pot zaczął po prostu marznąć na mnie.

Po długich hopkaniach usłyszałem nareszcie pożądaną odpowiedź; ktoś ku mnie zdąża, poczciwy dyrektor nie zapomniał o mnie i posłał za mną! I rzeczywiście usłyszałem znowu coraz bliższe hopkanie. Rządca dyrektora, pan Obmiński, przybywał do mnie jako zbawienie. Pierwszem mojem słowem było:

— Dawaj pan kordelas, bo ja scyzorykiem kłuję dzika od godziny i nie mogę go domęczyć.

Rozśmiał się serdecznie i podał mi z tryumfem kordelas. Jednem pchnięciem dokłułem teraz nieszczęśliwego wycinka, który rozciągnąwszy nogi, ostatniem spojrzeniem ogarnął zwycięzców.

Rozgoniliśmy psy i ze zdumieniem oglądałem pierwszego przy psach przezemnie zakłutego dzika. Poczciwy pan Obmiński, widząc jak kłapię zębami i trzęsę się jak w febrze, zdjął z siebie futro, którym mię otulił, dał mi manierkę z wódką, z której haust mię od śmierci wybawił, gdyż byłbym pewnie tę szaloną pogoń życiem przypłacił lub ciężkiem zapaleniem płuc i byłbym może jeszcze przed ś. p. dyrektorem Simonem na tamtym świecie polował.

Lecz nietylko samego rządcę przysłał dyrektor za mną. Wkrótce kilku gońców przybyło po dzika, którzy idąc za moim tropem nareszcie mię znaleźli. Pokazało się teraz, że prawie cztery godziny trwała moja pogoń.

Niestety, nie był to odyniec, tylko mały wycinek z przestrzelonym miękko udem. O ileż by to piękniejszem było, gdyby to stary był odyniec, lecz czy byłoby tak szczęśliwie się skończyło? Nie wiem, czy byłbym ja i psy wyszli cało z tej pogoni.

Wkrótce po tem polowaniu minął się biedny dyrektor Simon, minęła się jego znakomita psiarnia, minął się miły dom w Baliczach, a dwaj pozostali towarzysze Turzańscy, osieroceni również niedługo potem przez drugiego towarzysza, pozostali dalej wierni swej kniei, choć osamotnieni. A gdy im zbyt pusto było w olbrzymich lasach Turzańskich i zbyt smutno wieczorem w miłym domku na Tartaku, okryci kirem żałoby, przyjęli do swego grona trzech znakomitych myśliwych i polują dalej ze zmiennem szczęściem, wspominając zawsze swego założyciela i kierownika, dyrektora Simona.

Olejów we wrześniu 1891.

Aleksander Wodzicki.

Psie myśli.

Napisał

Seweryn Kisielewski.

(Dokończenie.)

Raz, na polowaniu, wystawił mi mój pies przepiórkę, a gdym ją ubił, przyniósł i oddał mi ją, lecz stanął znowu w pozycyi, skierowawszy nos w to samo miejsce, skąd ubita przepiórka się zerwała. W mniemaniu, że pies stanął do miejsca, w którem przepiórka siedziała, zawołałem: pfui! Ponieważ pies się nie ruszył, więc powtórzyłem ten sam wyraz nagany. Widać musiała ta nagana psa obrazić, bo zwróciwszy głowę ku mnie, popatrzył jakoś pogardliwie, jakgdyby mi chciał dać do zrozumienia: „Ależ nie pfuj, bo tu jest pod nosem“. Zawstydzony w ten sposób przez psa rzekłem: no to pif! I rzeczywiście była w tem samem miejscu przyczajona w trawie druga młoda przepiórka, jak się zdaje, córka tej, którą już ubiłem.

Polując dalej, natrafiłem wśród łąki na chruściela, który, acz go pies już parę razy wystawił, w żaden sposób spłoszyć się nie dał i zerwać się nie chciał. W jednem miejscu, po raz czwarty może, osaczył go pies znowu; ja zaś podbiegłszy, wydałem rozkaz: pójdź dalej! Wtedy zamiast postąpić naprzód, poszedł pies bokiem, a zakreśliwszy w ten sposób półkole, stanął naprzeciw mnie w oddaleniu 10 do 15

kroków, i podniosłszy głowę popatrzył przez chwilkę na mnie, wzywając mię prawie oczami, abym podszedł wprost do niego i zmusił do zerwania się chruściela, któremu on sam rady dać nie może. Czyniąc zadość psiemu wezwaniu, postąpiłem naprzód, badając wytężonem okiem wszystkie trawy i chwasty na przestrzeni, dzielącej psa odemnie. Uszedłszy zaledwie kilka kroków, spostrzegłem, że trawa w jednem miejscu, w kierunku na lewo odemnie, zaczęła się chwiać i poruszać w ten sposób, jakby tamtędy przesuwał się jaki wielki wąż. Znając już z doświadczenia te wybiegi, wskazałem psu ręką kierunek, którędy chruściel w trawie ponurkował — a za chwilę pies ponownie zagrodził mu drogę. Nie chcąc psa dłużej męczyć, podbiegłem kilka kroków i zawołałem: płosz! Na ten rozkaz pies podskoczył w górę, i runął wszystkimi czterma nogami w miejsce, gdzie chruściela zwietrzył, wydając równocześnie z siebie jedno krótkie, grubym głosem wyrzucone szczeknięcie. Dopiero to poskutkowało. Chruściel prawie psu z pod brzucha wyleciał i zobaczywszy stojącą naprzeciw moją osobę, zmuszony był szybować prosto w górę, nieco wyżej, niż zwyczajnie, z czego sko. ystawszy, nie chybiłem, lecz spuściłem go na dół.

Od tej chwili pies zawsze takiem szczeknięciem derkacza wypłaszał.

Dla dokładności muszę tu wyjaśnić, że pies rozumiał, co znaczy płoszyć, ponieważ płoszenie za pomocą szczekania wykonywał w domu z mojego rozkazu, przy różnych innych sposobnościach, bardzo często. Gdyby jednak i bez poprzedniego nauczenia był szczeknął na chruściela, to można by powiedzić, że to szczeknięcie wywołane było instynktem, ale to obcinanie chruścielowi drogi do ucieczki, to zachodzenie w półkole i stawanie naprzeciw mnie, pozwala przypuszczać, że pies, po trzykrotnem bezskutecznem wystawieniu chruściela, ułożył sobie plan strategiczny, obliczony na to, ażeby ptak, z dwóch stron naciśnięty, był zniewolony zerwać się i szybować w górę. Że zaś nie ma planu strategicznego bez myślenia, więc przypuszczam, że i pies przy układaniu planu kampanii na chruściela musiał myśleć.

Oprócz tego wypadku, widziałem jeszcze wiele razy takie postępowanie mojego psa, które mię w podziw wprawiało i najwyraźniej wskazywało, że pies postępuje według jakiegoś naprzód ułożonego planu.

Kiedy naprzykład pomknął zając na otwartem polu i uszedłszy bez strzału, wbiegł do ślepego t. j. z jednej strony zamkniętego jaru i stamtąd nie wyszedł — a ja, chcąc go strzelać, zbliżyłem się do jaru i kazałem psu iść naprzód, to on wtedy nie poszedł nigdy wprost, lecz postąpiwszy parę kroków, stawał, podniósł głowę w górę i oczywiście rekognoskował — poczem obracał głowę ku mnie i popatrzywszy mi w oczy, jakby chciał powiedzieć: „Ty zostań tu, a ja już wiem z której strony będzie najlepiej tutaj go napędzić“ biegł brzegiem jaru aż do miejsca, gdzie się jar otwierał — a wbiegłszy w jar wietrzył i szedł jarem ku mnie, lub przeciąwszy czeluść jaru, wychodził na drugi brzeg — i będąc mniej więcej naprzeciwko mnie, ponownie w jar się zagłębiał. Rezultatem tego psiego planu było prawie zawsze to, że zając wyskakiwał na ten brzeg jaru, na którym stałem.

A jeżeli kiedy zoczył kota w jakiemś miejscu, gdzie w pobliżu były drzewa lub domy, to skoro tylko dostał pozwolenie do zaatakowania go, rozglądnął się zawsze poprzód, i dopiero potem podkradał się rowem, lub po za domy, często czołgał się nawet na brzuchu i w ten sposób zbliżywszy się do kota, wpadał nań znienacka i prawie zawsze go brał.

Jeżeli takie postępowanie psa było instynktem, to zdaniem mojem, powinien był pies postępować tak samo i wtedy, kiedy kota na czystem polu obaczył — tymczasem przy takiej sposobności, postępował wręcz inaczej. Gdy bowiem kota zobaczył, szedł zawsze w prostym kierunku na niego i nie spieszył się bynajmniej. Owszem, biegł nawet bardzo wolnym truchcikiem najprawdopodobniej dlatego, iż musiał być pewnym, że mu kot nie ujdzie. Dopiero, gdy kot umykać zaczął, puszczał się galopem za nim i po krótkiej gonitwie było już po wszystkiem, bo ledwie kota dopadł, wnet nim potelepał, i za chwilę aportował go do mnie już nieżywego. Był bowiem bardzo zwinny i silny, a na koty tak strasznie zażarty, iż pomimo, że kot z natury ma bardzo twardy żywot, robił z każdym bardzo krótki proces.

Jak straszną animozyę żywił ku kociemu rodowi, niech posłuży za dowód ta okoliczność, iż nieraz dawał mi do poznania, że sam, bezemnie, zamierza wyprawić się na kocie polowanie. Działo się to zazwyczaj tylko w lecie, kiedy koty po zachodzie słońca nad brzeg Dniestru w celu łowienia ryb wychodzić zwykły. Jeżeli zgodziłem się na ten psi zamiar, to mogłem być pewnym, że w kwadrans a najwyżej w pół godziny, przyniesie pies, co najmniej, jednego uduszonego kota.

Wszelako dziwna rzecz, że pomimo swej bezmiernej zawziętości do kotów, nie zaatakował kota nigdy sam w takim razie, jeśli ze mną wszedł do obcego domu i tam go obaczył. Lubo nie pozwoliłem mu nigdy na zaatakowanie kota wśród takich okoliczności, pies, mimo to, za każdym razem, gdy go obaczył lub zwietrzył, trącał mię zaraz pyskiem lub łapą, aby zwrócić moją uwagę. Przy takich sposobnościach nie potrzebowałem nawet oglądać się i patrzyć na psa, bo dosyć mi było powiedzić: mówiłem, że nie wolno zaczepiać — a pies z pewnością już go nie zaatakował, chociażby nawet kot przed nosem mu był usiadł. Gdy mu już zaczynało brakować cierpliwości, to zamykał oczy i udawał śpiącego, aby na kota nie patrzyć, lub w najgorszym razie wzdychał ciężko i skomlił narzekająco, jednak zakazu nie przekroczył nigdy nawet w tym wypadku, gdy stara kocica, mająca młode, sama rzuciła się na niego.

Zgadzam się wprawdzie na to, że takie trącanie mnie łapą mogło być instynktowe, lecz na to zgodzić się nie mogę, aby było coraz silniejsze i powtarzało się tak długo, dopóki na nie uwagi nie zwróciłem. Nie raz udawałem, że nie uważam, więc skoro pies poznał, że trącanie skutku nieodnosi, wtedy cichem skomleniem starał się zwrócić moją uwagę, gdy zaś to działo się podczas chodu, a ja i na skomlenie uwagi nie zwracałem, natenczas pies, idący za nogą, wybiegał naprzód, stawał na tylnych łapach, a przednie oparłszy mi na piersiach, zmuszał mię do zatrzymania się i zapytania: co to jest? Pies w tej chwili okazywał mi wzrokiem to, co upatrzył i uznał za godne mojej uwagi. Był to zwyczajnie zając w roli, kuropatwy i t. p. Raz nawet zwrócił w ten sposób uwagę moją na lisa przy sposobności, kiedy, polując na kuropatwy, usiadłem pod drzewem na brzegu lasu w celu wypoczynku. Gdyby był pies trąceniem łapą uwagi mojej nie zwrócił, to z pewnością byłbym nawet nie wiedział o tem, że lis, idąc zamyślony, zbliżył się do mnie na strzał — lub, w najlepszym razie, nie będąc przygotowanym na takie intermezzo, byłbym się zapóźno do strzału przygotował.

Skoro psa puściłem na polowaniu za daleko od siebie t. j. na 100, 200 i więcej kroków, a on w tym czasie wyszukał jakąś zwierzynę i wystawił ją — ja zaś spiesznie nie przychodziłem, wtedy pies oglądał się raz, często nawet dwa i trzy razy, i dopiero wtenczas, kiedy się zbliżyłem na 20 do

30 kroków, ruszał z miejsca i szedł bokiem w półkole na wzór balansowania przy kadrylu, poczem stawał naprzeciw mnie, tak, że zwierzyna była zawsze pomiędzy mną a nim. Gdy zaś zapuściłem go w zboże wysokie, albo kukurudzę — (czego nie radzę nikomu, bo na takie ekskursye można sobie pozwolić chyba z psem tak pewnym, jak był mój, albowiem psy młode, a nawet już starsze i zupełnie ułożone, psują się przy takich sposobnościach bardzo łatwo, prawie bez wyjątku) a nie widząc i nie słysząc, gdzie się znajduje, świsnąłem, — to on zawsze podskoczył w górę, aby mi okazać, gdzie jest.

I na tym punkcie zgodziłbym się, że pies, wystawiając zwierzynę, mógł instynktowo oglądnąć się raz jeden, ale trudno mi przypuścić, żeby z instynktu oglądał się więcej razy przy tej samej sposobności i na mój świst w górę podskakiwał.

To wszystko wszakże jest niczem wobec tego, co jeszcze mam do opowiedzenia.

Jednego razu, na prośbę mojego znajomego, wziąłem do tresury jego psa, mającego już wyżej roku i stosownie do życzenia, tresowałem go za pomocą niemieckiej mowy. Pies ten był czeskiej rasy, i łączył w sobie, oprócz właściwego tej rasie, niemiłego ślinienia, wielkie lenistwo, bezprzykładną bojaźliwość i przytem, co nie do pojęcia, końskie narowy i niezmierny upór. Oczy tego psa były jakieś mdłe i pochmurne, a wejrzenie nieskończenie bałwanowate i ponure.

W ciągu tej tresury przypatrywał i przysłuchiwał się mój pies wszystkiemu, a po trzech tygodniach rozumiał lepiej po niemiecku, niż ten, którego uczyłem, bo często nawet pouczał tamtego. W jakim języku do siebie przemawiali t. j. czyli jeden mówił po polsku a drugi po niemiecku, lub też obaj swoją właściwą psią mową — tego nie wiem, widziałem tylko, że się rozumieli bardzo dobrze.

Jednego dnia znarowił się ten czeski pies i wypowiedział mi posłuszeństwo przy aportowaniu. Będąc pewnym, że rozumie, czego od niego wymagam, bo już kilkadziesiąt razy różne przedmioty podawał, a przecież usłuchać nie chce, chwyciłem za harap i przetrzepałem mu skórę. Zamiast wykonania rozkazu, pies zawarczał ze złości, odszedł odemnie i położył się na swojem legowisku. Widząc, że pies przez upór do nogi przyjść nie chce, podwoiłem liczbę plag. Lecz i tym razem skutek był taki sam jak przedtem. Z tego powodu wpadłem w taką pasyę, że nie mogąc nad sobą zapanować, wyjąłem z torby ładunek, włożyłem do strzelby i chciałem mu w pokoju w łeb palnąć. Mój pies patrząc na to, domyślił się najprawdopodobniej, co może nastąpić, więc zerwał się zaraz ze swego łoża i stanąwszy pomiędzy mną a tą oporną bestyą, popatrzył na mnie takim wzrokiem, żem najwyraźniej z niego wyczytał: „Stój! ja jeszcze z nim pogadam!“ Myśląc, że mój pies chce tamtemu trochę skóry naciągnąć, powiedziałem: „Pozwalam“. Lecz zamiast kąsania, stanął mój pies nad głową tamtego — a patrząc nań groźnie zawarczał i rzucił następnie okiem w stronę, gdzie leżał przedmiot, rzucony przezemnie do aportowania. Napróżno jednak, bo i ta, jak przypuszczam, psia groźba skutku żadnego nie odniosła. Uparty pies nietylko, że się nie ruszył, ale jeszcze zamknął oczy, aby na mojego psa nie patrzyć. Wtedy mój pies popatrzył na mnie po raz drugi pytająco, a ja wnet powtórzyłem przyzwolenie wyrazem: wolno! Mając już pewność, że może robić z tamtym psem co mu się podoba, porwał mój pies tamtego za kark i zaczął ciągnąć do miejsca, na którem leżał przedmiot do aportowania, a przywlókłszy go tam, potargał mocno za kark i puścił. I o dziwo! znarowiony pies wziął w pysk przedmiot przezemnie rzucony i przyniósł do mnie.

Czy to także instynkt?

Lecz mam jeszcze dalsze fakta! Przez jakiś czas potrzebowałem wstawać o godzinie 4 rano; więc, żeby nie zaspać, stawiałem na szafce obok łóżka budzik. Dzwonienie jego zawsze mnie budziło, wstawałem natychmiast i ubierałem się, lecz po kilku dniach przywykłem do godziny budzenia się ze snu tak, że budzik nie był mi właściwie potrzebnym. Jednego dnia zbudziłem się nawet prędzej o pół godziny. Nie wiem skąd mi przyszło na myśl uważać, jakie wrażenie robi dzwonek budzika na moim psie, ale dość, że to postanowiłem. Nie ruszałem się przeto wcale, a przymrużywszy oczy, czekałem aż do chwili, kiedy budzik dzwonić zacznie. Z chwilą, gdy w pokoju rozległ się głos budzika, podniósł się pies z legowiska, a ziewnąwszy i wyciągnąwszy się psim zwyczajem, zbliżył się następnie do mojego łóżka i zaczął radośnie ogonem myrdać. Gdy dzwonek ucichł, a pies zobaczył, że ja nie wstaję, przestał machać ogonem, i patrzył na mnie przez chwilę, poczem poszedł na swoje miejsce i położył się znowu, ale głowę miał ciągle podniesioną do góry i patrzał nieustannie na moje łóżko. Po minucie lub dwóch takiego patrzenia, wstał ponownie, przyszedł do łóżka i zaczął mię budzić za pomocą trącania łapami, naprzód w nogi a wreszcie w piersi. Przekonawszy się, że to nic nie pomaga, usiadł przed łóżkiem i zaczął budzić głosem, szczekając z początku ciszej, potem coraz głośniej. (Muszę tu objaśnić czytelnika, że do tego sposobu budzenia był pies przyuczony, więc mógł to robić więcej może z przyzwyczajenia, niż z własnego pomysłu). Gdy jednak ujrzał, że i ten rodzaj budzenia nie zniewolił mię do powstania z łóżka, spuścił głowę i zasmucony poszedł na swoje miejsce, gdzie usiadłszy, patrzał na mnie znowu przez jedną lub dwie minuty. Naraz zerwał się szybko, przybiegł do szafki, na której stał budzik, stanął na tylnych łapach, i oparłszy przednie łapy na szafce, zaczął budzik obwąchiwać; następnie trącił budzik parę razy łapą tak, że go aż na ziemię zrzucił. Wówczas zerwałem się z łóżka, a pies padł na ziemię i łasząc się przepraszał za swoją niezgrabność.

Czyliż potrzeba więcej dowodu na to, iż pies myślał, że trącając budzik łapą, pobudzi go do ponownego dzwonienia, i że mnie tym sposobem zniewoli do powstania z łóżka? Czy można jeszcze wątpić, że przyroda wyposażyła psa, oprócz instynktu, jeszcze jakimś rodzajem myślenia?

Pies ten, mimo wszelkich zalet, był trzymany bardzo ostro i miał sposobność przekonać się setki razy, że od przyjętej raz reguły nie odstępowałem, dla tego, najprawdopobniej w mniemaniu, że najlepiej zrobi, chciał mię koniecznie zbudzić.

O tym psie, o jego roztropności, walecznych czynach i, że tak powiem — nadzwyczajnym rozumie, mógłbym całe tomy napisać. Ale ponieważ przekroczyłoby to zakres myśliwskiej rozprawki, więc ograniczę się na przytoczeniu jeszcze tylko jednego przykładu jego szalonej odwagi i ślepego posłuszeństwa.

Jechałem raz wózkiem drogą, wijącą się po nad brzegiem Dniestru. Było to na wiosnę, właśnie w tym czasie, kiedy Dniestr ruszył i — unosząc krę na grzbiecie — spiętrzał tu i owdzie ogromne zatory, które pod naciskiem innych nadpływających kawałów lodu pękały, kruszyły się i nurzały na to tylko, aby za chwilę wynurzyć się z wody i znów uderzać z tem większą siłą. Dniestr w takiej chwili jest

bardzo niebezpieczny i grozi prawie niechybną śmiercią temu, ktoby się poważył wstąpić w jego nurty.

Otóż ponad takim Dniestrem jechaliśmy wózkiem. Obok mnie siedział mój znajomy, także myśliwy, nie tyle zamiłowany, ile zapalony, a wówczas był jeszcze jednym z tych, którym w głowie trawa myśliwska dopiero zielenić się zaczyna.

Przed końmi, jak laufer przed kolasą dygnitarza, biegł mój pies, wracając od czasu do czasu i pytając wzrokiem, czy mu nie wydam jakiego rozkazu. Gdy się pies w ten sposób raz do wózka zbliżył, rzekł mój towarzysz:

— Ciekawy jestem, czyby pies poszedł teraz aportować na Dniestr?

— Nie ma wątpliwości — odpowiedziałem.

— Ja nie wierzę. Założmy się!

— O co?

— O pięć butelek wina.

— Dobrze! — zakończyłem nasz nierozsądny dialog.

Przywoławszy psa, wskazałem ręką na Dniestr i wydałem rozkaz: naprzód! Pies postąpił kilka kroków i popatrzywszy chwilę na te straszne lody, zwrócił na mnie oczy, w których wyczytałem nieme zapytanie: „Czyś oszalał? W jakim celu?“. Ponieważ obaj, t.j. ja i mój towarzysz siedzący na wózku, mieliśmy podówczas w głowie po pół butelki po nad zwykłą miarę — a sama propozycya mojego towarzysza już mię rozdraźniła — więc ten psi rozsądek, zamiast przywołać mię do zastanowienia, rozdrażnił jeszcze bardziej. A że do tego jeszcze i mój towarzysz zaczął drwić mówiąc: „A co, czy nie mówiłem, że wygram?“ — przeto, skoczywszy z wózka na ziemię, krzyknąłem do psa: „W tej chwili naprzód marsz!“

Pies ruszył natychmiast, a wskoczywszy na krę, zaczął iść naprzód, przełażąc z jednej bryły lodu na drugą. Uszedłszy tak 10 do 15 kroków, znikł pod wodą, przywalony nadpływającą ogromną krą.

Myślałem, że już po psie — i to mię w jednej chwili wytrzeźwiło. Zdaje mi się nawet, że nietylko pół butelki wina, ale cała flaszka „siwuchy“ byłaby mi wtedy bez wątpienia z głowy wywietrzała. Na szczęście moje, pies wychylił głowę z pod lodu i zaczął znowu na krę się wdrapywać, lecz ściśnięty lodami i party ich nawałem, ześlizgał się raz po raz i zapadał znowu pod lód.

Nie było co namyślać się, bo też i nie było żadnej innej rady. Krzyknąwszy tylko na psa: „Nie daj się! nazad tu!“ — wskoczyłem w tej chwili sam do wody, chcąc naprawić bezbrzeżne głupstwo moje.

Dopadłszy psa, który na rozkaz zawrócił już do brzegu, chwyciłem go za obróżę i pociągnąłem ku siebie. Było już jednak zapóźno. O powrocie do brzegu tą samą drogą, którą do wody wszedłem, nie było ani mowy. Kra parła tak strasznie i popychała naprzód z prądem wody, iż chociaż stałem na nogach, nie mogłem się utrzymać. Oprócz tego dostawałem co chwila wciąż silne uderzenia lodem to w plecy, to w bok, to w uda, i myślałem, że wybiła już ostatnia moja godzina.

Dzięki jednak przytomności umysłu, której na szczęście nie straciłem, zapierałem się nogami ile mi tylko sił starczyło i starałem się ciągle przybliżać do brzegu. Po kilku minutach takiego strasznego pasowania się z lodami, wydobyłem się wreszcie razem z psem na brzeg o 20 kroków dalej od miejsca, gdzie do wody wszedłem.

I jakoś szczęśliwie przeszła ta przeprawa bez poważniejszych następstw dla mnie i dla psa. Wprawdzie obaj mieliśmy bardzo łykowaty żywot, lecz mimo to nie zdradzaliśmy więcej ochoty do podobnych eksperymentów. Pies wszakże nie wahał się nigdy użyć kąpieli w zimie, jeżeli się rozchodziło o wyniesienie zastrzelonej na Dniestrze kaczki, wtedy, kiedy woda tylko przy brzegach była zamarznięta, a środkiem wolna od kry lodowej.

Pies ten z wiekiem, w skutek bardzo niekorzystnych okoliczności, jakie życie moje otaczały, zepsuł się trochę, lecz mimo to podziwiali go aż do końca jego żywota wszyscy ci, którzy go tylko znali.

Na zakończenie nie będzie może od rzeczy nadmienić i to, iż obserwowałem psy podczas ich snu i przekonałem się, że miewają marzenia senne tak samo, jak ludzie. Skoro bowiem, jak przypuszczam, śniło się psu, że dostaje pochwałę od swego pana, to machał przez sen ogonem, jak gdyby się łasił — gdy znowu marzył, że za jakieś wykroczenie dostaje plagi, to kulił się i jęczał — gdy wreszcie, co najprawdopodobniejsze, śniło mu się, że wystawia zwierzynę, to wyprężał ogon, wyciągał nogi sztywnie i pompował nosem powietrze tak samo, jak to zwykł czynić na jawie.

Otóż więc z takich, jak powyżej opisałem, i tym podobnych wypadków zachowania się psów na jawie i we śnie, przyszedłem do przekonania, że psy nie są całkiem pozbawione właściwego rodzaju myślenia, gdyż przypuszczam, że w mózgach nic nie myślących i marzenia gościć nie mogą.

KORESPONDENCYE.

Nowemiasto w wrześniu 1891.

(Proch bezdymny).

W interesie amatorów i zwolenników bezdymnego prochu podaję do publicznej wiadomości fakt, który może niejednego z tych panów wyleczyć z entuzyazmu dla nowego wynalazku.

Do tej pory używałem zawsze do ładunków prochu Nr. 2 i nie miałem powodów do narzekania. Przed paru jednak dniami wpadła mi w ręce mała ilość prochu bezdymnege, o którym tyle teraz wszędzie hałasu. Skuszony nowością, napełniłem na próbę dwa ładunki tym prochem dając go ledwie $^3/_4$ miarki, służącej do zwykłego prochu.

Dnia 2. września, zaproszony przez sąsiada na kuropatwy, postanowiłem zrobić próbę z owymi ładunkami, dla tego też je pierwsze wsadziłem do lufek.

Wyżeł mój ściągał już od dłuższego czasu, wreszcie stanął twardo. Podszedłem i trąciłem go. Znany a zawsze miły widok zrywającego się stada przedstawił się moim oczom. Wybrałem moje ofiary, i układając sobie dubletę, pociągnąłem za cyngiel prawki, ciekawy skutków ładunku, napełnionego prochem bezdymnym. Skutek rzeczywiście prze-

szedł wszelkie moje oczekiwania. Pierwsza kuropatwa padła, gdyby piorunem rażona, co do drugiej, to do tej nie miałem ani ochoty ani możności strzelić, bo znajdowałem się w tem położeniu, które Niemcy trafnie określają: *„Dass mir Sehen und Hören vergieng“*, a w oczach zaświeciło mi jak w „siedmiu kościołach“.

Przyszedłszy po chwili do siebie, ujrzałem najpierw wyżła, aportującego zabitą kuropatwę, następnie przeprowadziwszy na własnej osobie dokładne *visum repertum*, przekonałem się, że oprócz porządnej kontuzyi policzka i ramienia, nic mi nie brakuje; najgorzej jednak na tej próbie wyszła broń moja, która na szczęście w tym dniu była dubeltówka „dyana“ o poczwórnem zamknięciu systemu Greenera. Na szczęście, mówię, bo jeśli broń tak silna i dokładna jak dyany systemu Greenera, uległa mimoto, wskutek częściowego wybuchu prochu bezdymnego w tył, zgięciu i złamaniu tak masywnej części żelaznej jak baskula — to pytam się, coby się było stało, gdybym zamiast tej strzelby był użył innej, o mniej silnem i dokładnem zamknięciu, lub starszej, o rozluźnionych częściach składowych.

Odpowiedź na to pytanie przyniosła mi w trakcie pisania tej korespondecyi poczta, w formie listu pana Dzikowskiego, któremu broń uszkodzoną na kuracyę posłałem. Między innymi pisze mi pan Dzikowski: „Nie pierwsza to strzelba, która została uszkodzoną przez proch bezdymny, a znam wypadek, że przy tesznerówce urwało prawą część baskuli i duży palec prawej ręki (strzelającego) został poszarpany“. A mogło być gorzej...

Z tych częstych wypadków z prochem bezdymnym wypływa jasno, że ani broń nasza, ani ładunki i miarki nie są jeszcze zastosowane do nowego wynalazku, i że dopiero jak zwykle, długi szereg przykrych i niebezpiecznych doświadczeń doprowadzić może do właściwych rezultatów. Nie sprzeniewierzajcie się więc ś. p. Bertholdowi Schwarcowi (Panie świeć nad jego duszą!) i strzelajmy dalej prochem czarnym — czego sobie i wam życzę.

Aleksander Przedrzymirski.

Kolbuszowa 6. września 1891

(Zając z jednym słuchem. — Jeszcze o kaczkach).

Wierzę w to najzupełniej, że najtroskliwsza i najoględniejsza z matek — matka przyroda — nie popełnia nigdy błędu, ale niemniej wierzę i w to, że ta najczcigodniejsza matrona, ukrywająca uporczywie przed okiem ciekawych pobudki swego działania, miewa przecież niekiedy jakieś tak dziwaczne gusta i zachcianki, że chyba z gustami histerycznej kobiety porównaćby je można. Nieraz już dała nam dowody swego szczególniejszego upodobania lub niesmaku tem, iż jedno ze swoich dziatek, z jednego i tego samego plemienia, albo stroi w jakąś niezwykle piękną, a wręcz odmienną sukienkę, lub wyposaża wspanialszymi kształtami niż inne, albo też zmienia je w karykaturę, skrzywiwszy jego kształty lub odmówiwszy mu jakiego organu.

Mam właśnie przed sobą jeden taki okaz, a jest nim mały zajączek, dla którego matka przyroda była macochą, bo zamiast dwu słuchów, dała mu tylko jeden. Wprawdzie ma on i drugi narząd słuchu, ale to już nie koncha ucha, zwana po myśliwsku „słuchem“, lecz istne uszko małego szczenięcia, z rodzaju piesków pokojowych. Uszko to odstaje zupełnie na bok od głowy i jest trochę na dół zwieszone, ledwie $4^1/_2$ ctmr. długie i nie przylega bynajmniej do szyi. względnie do grzbietu zajączka, na sposób, jak to zwyczajnie każdy zając słuchy na sobie kładzie. Drugie zaś, normalnie wykształcone ucho, ma 9 ctmr. długości. Sierć na wierzchu tego niezwyczajnego uszka jest krótka jak u myszy, barwy żelaza, a przy końcu lśniąco-czarna, wewnątrz zaś buroczarna. Zresztą, o ile zauważyć mogłem, zajączek ten, którego nazwałem „kubuś“, jest normalnie zbudowany i zachowuje się w ruchach zupełnie tak samo, jak jego współplemiennicy, tylko kiedy niekiedy, zamiast przykucać w pozycyi, jaką każdy zając w kotlinie przybiera, kładzie się na bok i ułożywszy głowę na przednich szczoteczkach, spoczywa podobnie jak pies warujący. W ogóle jest on już dość oswojony, dozwala spokojnie głaskać się i je nawet z ręki.

To jest kaprys matki przyrody, o którym chciałem donieść. A teraz skoro mam już pióro w ręku, niech mi będzie wolno uzupełnić poprzednią korespondencyę moją o szczegółach z życia dzikiej kaczki, a przez to niejako i na łaskawą korespondencyę z Koszarek w Łowcu Nr. 8 odpowiedzieć.

Szanowny korespondent ma zupełną racyę w tem co twierdzi, lecz może nie będzie od rzeczy wyjaśnić, dla czego ja byłem w części odmiennego zdania. Przedstawiwszy nagi fakt znalezienia kaczki z korzeniem zielska wodnego w dzióbie, nie mogłem go sobie dostatecznie wytłumaczyć, lecz nie przypuszczałem bynajmniej, iżby kaczka, chwytając dzióbem korzeń, zamierzała przy pomocy tegoż targnąć się na własne życie, byle tylko nie wpaść w ręce myśliwego. Pozwoliłem sobie tylko wysnuć z tego faktu wniosek, iż jestto jeden z fortelów, jakich kaczki przy sposobności ucieczki przed myśliwym używają, czyniąc to z umysłu. Na ten domysł wprowadziła mię następująca okoliczność. Gdy kaczka, o której w korespondencyi mojej, umieszczonej w „Łowcu“ Nr. 6. wspomniałem, spostrzegła mię zbliżającego się ku niej, zaczęła próbować dwa, trzy a może nawet cztery razy zanurzyć się w wodę, lecz to się jej nie udawało, najprawdopodobniej z przyczyny, iż, skutkiem ciężkiego postrzału, musiała mieć wiosła chwilowo ubezwładnione; zdołała więc zanurzyć tylko głowę i górną część tułowiu, podczas gdy kuper sterczał ciągle ponad wodą. Dopiero w chwili, kiedy byłem od niej najdalej na sążeń oddalony, odzyskała władzę w nogach, dała nurka i znikła pod dość grubą warstwą wodnych roślin, a gdy ją po niejakiej chwili stamtąd wydobyłem, miała w dzióbie kawałek korzenia czy łodygi.

Czyli więc chwyciła się ona dzióbem tego zielska z umysłu, w tym celu, aby przeczekać chwilę, nim powietrza braknie, i w ten sposób stawić opór wodzie, która ją poprzednio w nurty swe przyjąć nie chciała, a następnie na wierzch wypierała, lub dlatego, że chciała usunąć przeszkodę, tamującą jej dalszą ucieczkę — czy też może uczyniła to kurczowo i bezwiednie, będąc już w agonii — nie mogę o tem z całą stanowczością orzec, to jednak jest pewnem, że wydobyta z wody kaczka jeszcze trochę żyła, podczas gdy druga, która w podobnych okolicznościach na stawie w Podwołoczyskach wydobytą została, była rzeczywiście już nieżywa.

Seweryn Kisielewski.

KRONIKA.

W wycieczce myśliwskiej do Anatolii, o której donieśliśmy ubiegłego miesiąca w korespondencyi krakowskiej, biorą udział pp. Michał Brzostowski, Karol Jaźwiński, Wiktor Skibniewski i Ludwik Grvó.

O Kaźmierzu hr. Wodzickim pojawiło się świeże studyum pióra Aleksandra Rembowskiego (Kaźmierz Wodzicki jako myśliwy. Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1891). Przedstawia ono w świetle bardzo sympatycznem nieodżałowanego badacza naszego jako myśliwego, przyrodnika i pisarza. Biograf podnosi szczególniej „Zapiski ornitologiczne“ i przyznaje im tę zasługę, że poruszyły zamiłowanie do nauk przyrodniczych w szerokich kołach, pobudziły myśliwych do obserwacyi i tysiącznych debat właśnie dlatego, że autor „nie przystrajał się w urzędową togę uczoną, lecz pozostawał zawsze w formie, treści i tonie prawdziwym myśliwym“.

„Właśnie tej okoliczności — pisze Rembowski — że w „Zapiskach“ tkwi zaklęty myśliwy, zawdzięczają prace Wodzickiego ów nieprzeparty urok, jaki wywierają na nemrodową rzeszę. Każdy ptak Wodzickiego, w „Zapiskach“ schwycony, to nie wypchany egzemplarz, wymierzony i opisany z benedyktyńską skrupulatnością przez fachowego ornitologa. Ptak Wodzickiego staje przed wyobraźnią naszę piękny, żywy, z całym zasobem swych przyzwyczajeń oraz przebiegów i z bogatym skarbcem śpiewnej mowy, pełnej najróżnorodniejszych gwarów, tkliwych kwileń, namiętnych pień i ostrzegających świstów. Wodzicki odtwarza nam każdego ptaka, lub zwierza, w pełnym przebiegu żywota. Beztroska niemowlęctwa, porywy młodości i dolegliwość sędziwości, wszystko to skreślone jest z niezaprzeczonem poczuciem prawdy. Rozkosze pożycia rodzinnego, wady i przymioty charakterów obojej płci, a nadewszystko niebezpieczeństwa dalekich wędrówek, w które z jesienią, zarówno drobne ptasze, jak i potężni możnowładcy powietrzni wyruszyć muszą, pochwycił Wodzicki tak umiejętnie, że zdaje się, iż natura swemu ulubieńcowi odkryła nieprzebrane skarby powabów, ukryte przed oczyma zwykłego śmiertelnika.

„Wodzicki potrafił też podpatrzeć najskrytsze tajniki życia ptaszego. Czasami był świadkiem wzruszających scen poświęcenia, częściej jednak wstrząsał nim widok zbrodni i przestępstw, które ani na chwilę nie przygłuszyły w nim litości i przywiązania do skrzydlatych winowajców. Daremnie drobna sikorka, lub napuszysty bąk, starał się przed Wodzickim ukryć gorętsze objawy przywiązania małżeńskiego. Po za kotarą z gęstwiny zielonej, lub z nieprzebitego szuwaru, pewny swego utajenia ptak, dawał się podejrzeć przenikliwemu oku myśliwca, który z niecierpliwością bez granic badał rysy jego charakteru. Wodzicki dawał nam jednak ptaka, nietylko w boju i pokoju, w radości i smutku, w świetności młodocianej i w zgnębieniu zgrzybiałem, ale nadto odtwarzał tegoż ptaka w otoczeniu wspaniałem natury, w jakiem go każdy w myśliwych podziwiał i zdobywał.

„Dlatego to każdemu z sędziwych nemrodów „Zapiski“ Wodzickiego pachniały żywicą puszcz lub sianokosem rozległych łąk. Z obrazów jego zdawał się podnosić opar, osłaniający wieczorem lesiste moczary, lub pierzchały poranne mgły przed promykiem wschodzącego słońca, zaklętego w jego opowieści. Gwary radosne wiosennych przybyszów, zarówno jak i smętne przedodlotne sejmy ptasie, niepochwytny, a tak różnolity czar lasu, w czterech porach roku cały ten i tak pełny skarb naszej natury, przedstawił Wodzicki w swoich pracach...“

W tym tonie i tym nieporównanie ciepłym, pięknym językiem prowadzi Rembowski rzecz zwoją, a obok zajęcia się osobą Wodzickiego i jego dziełami, czyni pouczające spostrzeżenia co do łowiectwa w Polsce, dawnych w tym przedmiocie pisarzy, gwary łowieckiej i daje tem samem książkę, z wielu względów dla myśliwego ciekawą i pożądaną.

Wilki, częste pojawianie się ich tego lata i przeprawy z nimi, stanowią stałą rubrykę kronikarską. Świeżo donoszą z powiatu staromiejskiego, że w okolicy wsi Grąziowy, Posiecza i Hołowiecka pojawiły się wilki w wielkiej ilości. Śmiałość ich dochodziła do tego stopnia, że wprost z podwórza porywały świnie i owce. Zarząd dóbr Łomna urządził wielką obławę na nie, ale wynik obławy nie był podobno szczęśliwy.

W górskich okolicach Bukowiny zrządzają wilki i niedźwiedzie niemało szkody. Pod Kirlibabą (pow. kimpolungski) w siołach Upcziora i Gaina pojawiły się jednego dnia wilki i niedźwiedzie. Wilki rozdarły 16 owiec, dwoje cieląt i konia, niedźwiedzie zaś zadowoliły się uduszeniem krowy.

Na pastwisku w Izwonie (powiatu radowieckiego) pojawiła się wadera z sześciorgiem młodych i pokaleczyła kilka sztuk bydła.

O psach na tegorocznej wystawie wyśliwskiej w Petersburgu podaje korespondent „Jeźdźca i myśliwego“ następujące szczegóły:

Psy myśliwskie rozdzielone były na dwie grupy, na psy do polowania konnego i psy do łowów ze strzelbą. Pierwsza grupa mieściła: 51 chartów rosyjskich długowłosych, 29 chartów angielskich, 3 charty azyatyckie i krymskie, 25 sfór ogarów (złaja cesarska i w. książąt), 1 psa medelańskiego. Druga grupa mieściła 18 seterów Lawerak, 13 seterów Gordon, 5 seterów irlandzkich, 4 setery rozmaite, 18 pointerów białych z żółtem, 22 pointerów białych z kasztanowatem, 4 pointery rozmaite, 19 wyżłów krótkowłosych, 3 griffony (z sierścią najeżoną), 1 spaniela wodnego, 14 ogarów, 9 jamników, 25 półkurczów (łajków).

Chart długowłosy rosyjski jest wzorem elegancyi i zewnętrznego wykończenia form, przy kolosalnej sile i koniecznych przymiotach wewnętrznych — szybkości, odwadze i zażartości. Cechują go: łeb bardzo długi i wąski, w czole jakby ściśnięty, z wielkimi wypukłymi, łagodnymi oczyma. Szyja długa, klatka piersiowa ogromna, grzbiet wygięty, ożebrowanie i kości miednicy szerokie, skąd mięśnie krzyża bardzo silnie rozwinięte. Nogi dość wysokie, muszkularne, łapa mała, krótka i wysoka. Całe ciało, z wyjątkiem łba, jest pokryte długą, jedwabistą, rzadką sierścią, koloru białego, w większe lub mniejsze żółto-szare łaty; ogon długi, wisi spuszczony pomiędzy zadnimi nogami (nie zawija się do góry) i porasta dość długiem, równem ale nie gęstem i nie grubem piórem. Ucho maleńkie dość nisko obsadzone i przyłożone do tyłu głowy. Wzrost, szczególniej psów, ogromny; suki są zwykle mniejsze i nie tak zażarte. Używane bywają na wilka.

Polowanie z nimi na wilka zależy na tem, aby poszczute zwierzę dogonić, i złapawszy za kark lub za uszy, utrzymać tak długo, dopóki dojeżdżacz nie nadjedzie i nie zabije pchnięciem kordelasa, lub też z pomocą drugiego dojeżdżacza, trzymającego z całej siły wilka za uszy, nie wsadzi w pysk knebla, który przymocowany do karku, służy za wędzidło. Wilk w ten sposób zakneblowany szarpie się z początku, lecz widząc, że nic nie poradzi i poskubywany z tyłu przez psy, daje się prowadzić jak baranek do klatki, skąd go wypuszczają, jeżeli jest młody, dla zaprawiania młodych psów. Stare wilki, złapane w ten sposób, dostarczane bywają do hipodromów wyścigowych w Petersburgu i Moskwie, gdzie na nich odbywają się konkursy chartów. Najlepszy pies jest ten, który w pojedynkę osadzi wilka i przytrzyma za kark przez pewien określony czas, wystarczający dojeżdżaczom na dojechanie i zabicie, lub zakneblowanie zwierzęcia.

Z lisem chart rosyjski rozprawia się bardzo łatwo; dogania go szybko i jednem cięciem kłów i potrząśnięciem w powietrzu śmierć mu zadaje. Z zającem trochę trudniejsza. Dognać go łatwo, ale z obrotami trudno. Przy wielkim bowiem wzroście psa rosyjskiego, nie jest on tak łatwo zwrotnym i wiele traci po każdym obrocie, przez co musi się nieraz bardzo sfatygować, zanim weźmie sprytnego gracza.

U chartów angielskich, krótkowłosych, przymiot ten jest za to w wysokim stopniu rozwiniętym. Psy te są zwinne, jak kłębki, a ciało ich powtarza te same ewolucye, które robi goniony zając. Na wyrobienie tego przymiotu, równie jak i szybkości, wpływają dwie przyczyny: po pierwsze — są one specyalnie tylko używane w ojczyźnie swej do polowania na zające (wilków tam niema, a lisy chowają się do polowań z foxhound'ami); powtóre, są coroczne wyścigi charcie w Waterloo, dokąd na termin naznaczony zbierają się charciarze z całej Anglii, dla wzajemnego wypróbowania swych wychowańców. Charty mające biegać, trenuje się od szczenięcia, tak jak i konie, biegiem i żywieniem. Pies nie trenowany, choćby z najlepszego gniazda pochodzący, nie jest w stanie pokonać średniego, lecz dobrze wytrenowanego. Do przygotowania psów do biegu wybiera się zwykle miejscowość łagodnie pod górę idącą, odmierzonej długości. Na jednym końcu staje jeden psiarek z młodymi, głodnymi psami na smyczy (urządzenie jej jest inne niż naszej; tam za pociągnięciem otwierają się obroże i psy biegną bez ciężaru na szyi), u mety zaś stoi drugi psiarek z miską z jedzeniem. Psy na odgłos świstawki biegną co tchu do żarcia, którego dostają po kawałeczku, poczem zakładają im znowu obroże, prowadzą na dawne miejsce i puszczają.

W Polsce mamy dwa typy chartów, krótko- i długowłose. Pierwsze nazywają się polskimi, drugie wołoskimi. Krótkowłose są szybsze, zwinniejsze i lepsze na zająca; drugie, znakomicie rozprawiają się z lisem, którego gładkie psy bardzo często nie chą brać zupełnie. W porównaniu z chartem rosyjskim i angielskim, nasz, ze łba zwłaszcza, wygląda ordynaryjniej; jest on grubszy, mięsistszy, o bardzo silnie rozwiniętych muszkułach szczękowych, co nadaje fizonomii naszego charta specyalny wyraz. Budowa w ogóle doskonała, bardzo muszkularna; maść najrozmaitsza, przeważnie czarna, żółta lub pstrokata, z białą łatą na szyi i gardle, zachodzącą na kark do góry. Charakterystycznym jest ogon polskiego charta, kształtem zupełnie różny od ogona psów angielskich i rosyjskich i zdradzający pochodzenie jego arabskie. Kiedy u wyżej wspomnianych ras wisi on zupełnie na dół, u naszej tak jak i arabskiej, koniec jest zawinięty do góry i zakręcony w jedno, albo czasem nawet i dwa kółka, zaopatrzone nieraz u rasy gładkiej w niewielkie pióro. Kółko to podczas biegu, lub gdy pies macha ogonem z radości, rozwija się. Krzyż u psów powinien być wypukły, zaś u suk prosty; nogi pod siebie postawione. Charta polskiego, oprócz siły, szybkości (zrywczości) i bierczości, cechuje rozum i łagodność, w skutek czego można z nimi polować bez smyczy, nie obawiając się napastowania i szarpania świń, gęsi i owiec, pasących się na polu. Charty polskie bardzo często aportują, nawet nie uczone, złapanego zająca do konia, i nie mają zwyczaju szarpania i pożerania zwierzyny; stary pies kładzie łapy na zaduszonym zającu i nie pozwala dostępować do niego młodym, mającym ochotę pobawić się z uszczutą ofiarą. Jeżeli dodamy do tego niewybredność w jedzeniu i wytrzymałość na zmiany temperatury (zimą zwykle w przewiewnej, dziurawej, nieopalanej stajni), to będziemy mieli obraz zupełny polskiego charta.

Między wyżłami zajmują pierwsze miejsce setery-lawelaki, gatunek dzisiaj nietylko najmodniejszy, ale i najlepszy, bo zwyciężający wszelkie inne rasy wyżłów na konkursach polowych (field trials) w Anglii, na kontynencie i w Ameryce, delikatnością wiatru i powonienia, siłą muszkułów i rozumem.

Psy te nie robią wielkiego wrażenia na pierwszy rzut oka. Są one niewielkie, pokryte stosunkowo długim białym włosem, z pod którego przebijają czarne plamy, mające niebieski odcień, skąd i angielska ich nazwa „blue belton“. Łeb dość wielki, piękny i charakterystyczny, krótko ucięty, czoło bardzo szerokie i wysokie, nozdrza szerokie, rozwarte, zresztą budowa nie imponująca. Ogon dłuższy niż u innych seterów, wiszący na dół.

Za lawerakami, drugie miejsce zajmują gordony. Są to psy o ile piękne, o tyle w polu w porównaniu z innymi seterami niewiele warte, za powolne lub za ostre, ze słabym wiatrem i na gorąco strasznie niewytrzymałe.

W dziale ogarów jamniczych, zwracało uwagę pięć bassetów W. ks. Piotra. Śliczne to bardzo typowe ogarki, o długich korpusach, na grubych krzywych nogach; ogony grube, zadarte do góry i długie, prawie do ziemi wiszące uszy, maść biała z żółtem i ciemno-szarem, podobnie jak u foxhounda. Są to przedstawiciele tak zwanych we Francyi „chiens de petit êquipage“, służących całą zgrają do gonienia zająca i sarny, które, jak wiadomo, nie uciekają prędko; pierwszy bowiem kluczy, sarna zaś nie boi się takiego małego psiaka i ciągle przed nim przystaje. Bassety odznaczają się doskonałym wiatrem i głosem, co przy ich niewielkim wzroście i względnie niekosztownem utrzymaniu, umożliwia ludziom średnio zamożnym, jeżeli tylko mają miejscowość po temu (lasy lub góry), rozkoszować się muzyką głosów dobrze zebranej zgrai tych ogarów-liliputów. Sądząc z rozmiarów zdawałoby się, że basset powinien wchodzić w jamy lisie; wszelkie jednak próby zastąpienia nim fox-teriera angielskiego, lub jamnika niemieckiego spełzły na niczem, basset bowiem w ciemnościach lisiej lub borsuczej nory traci zupełnie odwagę i co najwyżej szczeka, bezpiecznie ulokowany z brzegu, nie narażając na szwank swych pięknych, długich, wiszących uszów zbyt bliskiem atakowaniem nieprzyjaciela.

O starym i nowym prochu miał ciekawy odczyt dr. B. Lepsius, syn głośnego egiptologa, na odbytym z końcem września 64-ym zjeździe przyrodników i lekarzy niemieckich w Halli. Zdaniem jego o wiele łatwiej jest odpowiedzieć na pytanie: kto prochu nie wynalazł? niż kto go wynalazł — bo wszystkie wiadomości, iż wynalazcą był *doctor mirabilis* XIII wieku, sławny Roger Baco, czy franciszkanin Berthold Schwarz, okazały się po bliższem badaniu tylko legendami. Nie był nim nawet i bizantyński pisarz Marcus Graecus, który w XII wieku po Chr. o prochu saletrowym wspomina, gdyż i przed nim i po nim znano mieszaniny siarki, saletry i węgla, bardzo podobne do naszego prochu dzisiejszego, ale używano jej jako ognia sztucznego, „ognia greckiego“ — jednakże siły wybuchającej prochu. tj. tego, czem proch odznaczył się jako wynalazek dziejowy, nie umiano wówczas ocenić i zużytkować. Lepsius mniema, że tak jak w innych wynalazkach, tak i tu Chińczykom trzeba przyznać pierwszeństwo, gdyż oni zdaje się poznali najwcześniej wybuchowe własności prochu.

Działa metalowe i żelazne kule do prochu sporządzano już w r. 1326 we Florencyi, a w 1338 i 1340 istnieją już fabryki prochu we Francyi i Niemczech. Następuje wyrób ręcznej broni palnej, a udoskonalenie jej stale zmierza ku temu, ażeby uzyskać precyzyę strzału i długość mety, zaczem idzie stałe zmniejszanie kalibru. Od 35 milimetrów średnicy, jaką miały muszkiety wieku XIV-go, schodziło się na 18·6 na 17·5 wreszcie na 14 milimetrów, przyczem siłę strzału podnoszono przez gwinty w lufie.

Wynalezienie bawełny strzelniczej w r. 1846 sprowadziło badania i odkrycia w zakresie środków wybuchowych na całkiem inne tory. Zastósowano materyały o przerażającej sile destrukcyjnej w torpedach, w dalszym zaś ciągu wyprodukowali sir Frederic Abel i pruski oficer Schulze pierwszy proch bezdymny, który w r. 1886 do francuskich karabinów Lebela został zastósowany. Tajemnica tego prochu stała się wkrótce znaną rządom angielskiemu i niemieckiemu, ale zaprowadzenie jego okazało się niepraktycznem, gdyż nie dał się on długo trzymać, ulegając rychłemu rozkładowi. Dopiero przez właściwe rozpuszczenie bawełny strzelniczej w nitroglicerynie zyskano podstawę do wyrobu doskonalszego prochu bezdymnego i dziś panują chemicy tak dalece nad jego składem i siłą prężności, że dla każdych odmiennych warunków ballistycznych i konstrukcyi broni, da się odmienny i najlepiej zastósowany proch sporządzić. To dało też sprowadzić do znacznie mniejszych rozmiarów kaliber lufy i wagę pocisku, a uzyskać donośność strzału, o jakiej nikt poprzód nawet marzyć nie śmiał.

O wierności psa do grobu i poza grób słyszano i pisano już nieraz. Oto świeży przykład prawdziwie wzruszający, a jak zapewniają pisma francuskie, zupełnie autentyczny.

W maju r. 1890 umarł we Francyi, w Pérignat b. kapitan Lesgourgues, osierociwszy psa, nazwiskiem „Black“, przywiązanego doń ponad wszelki wyraz. Kiedy kapitan umarł, pies nie odstępował go do chwili, w której zabito wieko nad jego trumną; szedł za nią na pogrzebie, i jak zapewniają, dziewięć dni przeleżał na mogile nie jedząc i nie pijąc. Dziesiątego dnia zawlókł się z mogiły ku pomieszkaniu dawnego pana, wyjąc bez przerwy żałośnie. Nakarmiony tutaj, wrócił znowu na mogiłę.

Rodzina zmarłego zabrała do siebie psa i utrzymuje go najstaranniej. Około południa „Black“ znika; wszyscy wiedzą dokąd idzie. Idzie na grób pana i do zachodu słońca leży na mogile. Szesnaście miesięcy upłynęło od śmierci kapitana, a wierny pies ani razu nie skrewił.

Żarłoczność szczupaków jest znaną. Ciekawy jej przykład obserwowało niedawno temu towarzystwo rybackie w Liège. Dwa szczupaki, jeden na 22 centymetry, drugi na 25, złowione zostały w chwili, kiedy drugi próbował połknąć pierwszego. Głowa połykanego utkwioną była w paszczęce połykającego, który jednak udławił się nie mogąc przełknąć przyjaciela, wielkością prawie mu równego. Obydwaj przypłacili to życiem. Kiedy ich wydobyto, były uduszone. Stało się to na wybrzeżu rzeki Durthe, w Belgii.

Szanownych P. T. delegatów gal. Towarzystwa łowieckiego i w ogóle wszystkich czytelników i przyjaciół „Łowca“, upraszamy o szczegółowe wiadomości z kniejowych polowań.

Szanowni członkowie Towarzystwa, zalegający dotychczas z wkładkami, raczą je jak najspieszniej wyrównać.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.